



www.poznaj-swiat.pl

Poznaj Świat

8
2016

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY



str. 12

BOLIWIA

TRATWĄ PRZEZ MADIDI

str. 34

LONDYN

MADAME TWARDA SZTUKA

str. 26

INDONEZJA

GDZIE ŁOWCA STAJE SIĘ ZWIERZYNA

SERBIA

TRĄBKI

Z BAŁKAŃSKIEGO KOTŁA

str. 20



MADAGASKAR
STR. 80

KUBA STR. 60

NA WSCHÓD OD HAWANY

WĘGRY STR. 74

WAROWNIE Z DUSZĄ

SINGAPUR STR. 42

DŻUNGLA W PIGUŁCE

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802

9177003216146051 08

📍 Nevşehir, Turcja

#HomeOf



BIURO RADCY DS. KULTURY I INFORMACJI AMBASADY TURCJI

www.turcja.org.pl

KAPADOCJA

Czy wiesz, że pierwsi chrześcijanie chronili się przed Rzymianami w podziemnych miastach Kapadocji? Kościoły były budowane wewnątrz baśniowych kominów zanim chrześcijaństwo zostało uznane za religię. **Odkryj Turcję, home of Kapadocja. Bądź naszym gościem!**

Turcja

HOME OF CAPPADOCIA

Ministerstwo Kultury i Turystyki Republiki Tureckiej



SERBIA str. 20



LONDYN str. 34



INDONEZJA str. 26



SINGAPUR str. 42



KUBA str. 60

W NUMERZE...

FOTOFORUM str. 4
Najlepsze zdjęcia
naszych Czytelników

BOLIWIA str. 12
Tratwą przez rzekę
Madidi, przez środek
lasów równikowych.
Marcin Stencel

POZNAJ ZWYCZAJ str. 20
Trąbki z bałkańskiego kotła.
Magdalena Chodownik

INDONEZJA str. 26
Przeprawa przez dżunglę
do dziko żyjących
plemion Papuasów.
Rafał Kośnik

LONDYN str. 34
Wszystko o Muzeum
Figur Woskowych
Madame Tussaud.
Paulina Kańska

GEOSKOP str. 40

SINGAPUR str. 42
Tutejsze zoo jest jednym
z najświeższych
na świecie.
Anna Bunikowska

PODRÓŻNOŚCI str. 48
Duży w podróży.
**Felieton Magdaleny
Żelazowskiej**

POLSKA str. 50
Wędrowka
bursztynowym szlakiem.
Anita Demianowicz

NAVIGATOR str. 56

KUBA str. 60
Na wschód od Hawany leżą
piękne, nie całkiem jeszcze
odkryte przez masową
turystykę miejsca.
Agnieszka Mikulec

GAMBIA str. 70
Tu podróż promem
może dostarczyć
niezapomnianych wrażeń.
Alicja Kubiak, Jan Kurzela

WĘGRY str. 74
Tutejsze zamki to
warownie z duszą.
Andrzej Hildebrandt

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:
MADAGASKAR str. 80
Piękno w prostocie.
Paweł Zgrzebnicki

**POZNAJ ŚWIAT
OD KUCHNI** str. 88

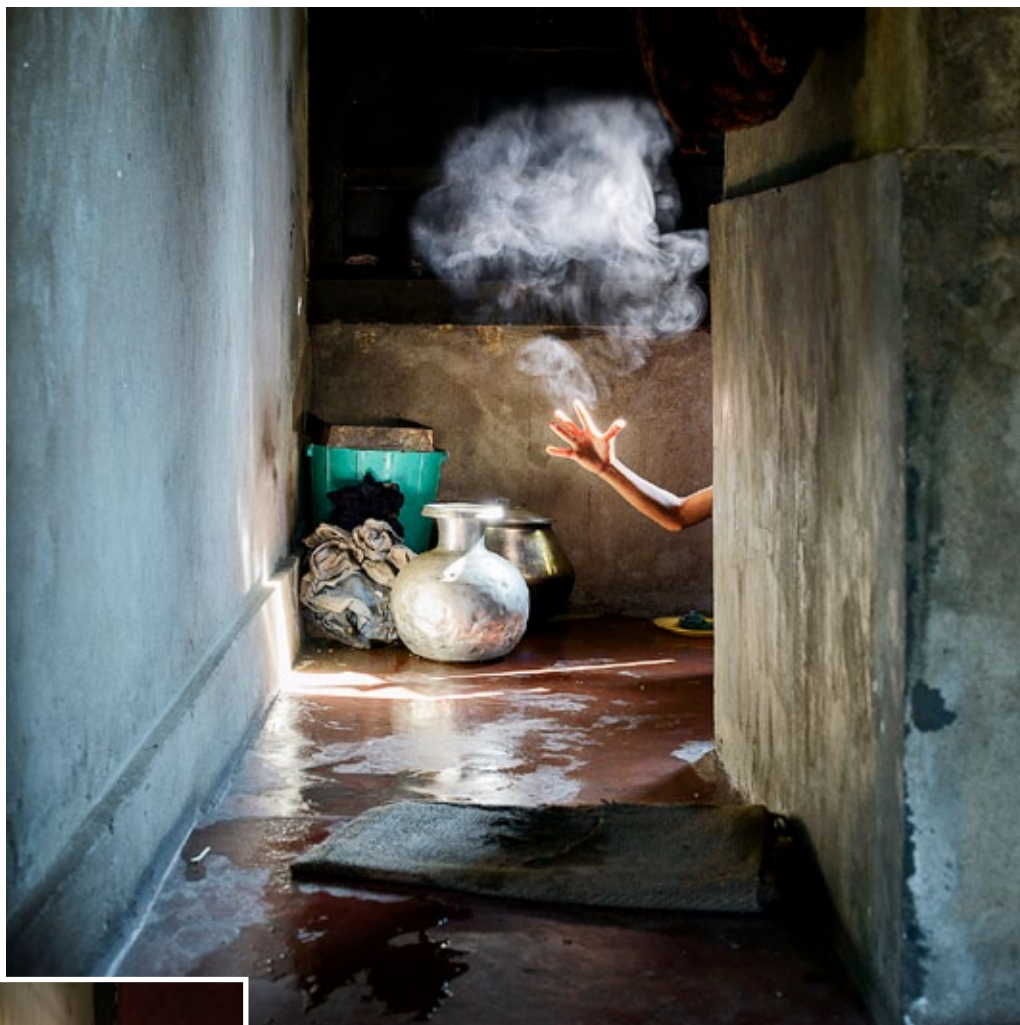
Z PERSPEKTYWY str. 90
W Krakowie bito w dzwony.
**Felieton Ryszarda
Badowskiego**

OUTDOOR str. 92

**POLSKA,
KTÓREJ NIE MA** str. 96



NA OKŁADCE:
serbski zespół
folklorystyczny



Karolin Klüppel

INDIE

Girl power!

Większość ludności zamieszkującej stan Meghalaya to członkowie plemienia Khasi, które liczy 1,1 miliona osób. W tej grupie etnicznej obowiązuje matrylinearny system pokrewieństwa. Zgodnie z tradycją to dziewczynki odgrywają najważniejszą rolę w rodzinie. Najmłodsza córka dziedziczy własność i przywileje społeczne po matce. Po ślubie mąż i dzieci przyjmują jej nazwisko. Rodzina, w której rodzą się synowie, jest uważana za pechową, ponieważ tylko córki zapewniają przedłużenie rodu. Przywilej dziedziczenia po matce gwarantuje kobietom z Meghalaya niezależność ekonomiczną i społeczną, nieosiągalną dla innych kobiet w Indiach. W kulturze plemienia Khasi lekceważące zachowanie wobec kobiety jest traktowane jako zniewaga dla całego społeczeństwa. Na zdjęciu mała Yasmin z dzbanem – w wiosce Mawlynnong nie ma bieżącej wody. Fotografie Karolin Klüppel pokazywane były na Fotofestiwalu w Łodzi w ramach Grand Prix Fotofestiwal 2016.

Anna Alboth

KRÓLESTWO TONGA
Drzewo Dusz

KADR ROKU
2015



Zdjęcie pochodzi z galerii Fundacji KADRY ZE ŚWIATA. Można je kupić i pomóc spełnić podróżnicze marzenia dzieci. Szczegóły na WWW.KADRYZESWIATA.PL

Stoi w samym środku dżungli, na wyspie Eua w Królestwie Tonga. Jest tak duża, że objęcie jej w całości obiektywem jest praktycznie niemożliwe. To *ovava* (w innych miejscach świata zwana także *banyan* lub *strangler fig tree*). Drzewo to pojawia się w religijnych i mitologicznych historiach w całej Azji i na Pacyfiku, ale podobno to właśnie ten 800-letni okaz stał się inspiracją do stworzenia Drzewa Dusz w filmie „Avatar” Jamesa Camerona. Jedna *ovava* zajmuje kilkaset metrów kwadratowych, zaczyna rosnąć normalnie, głównym pniem, a potem jej gałęzie stopniowo schodzą w dół, aż dotrą do ziemi i wpuszczają w nią korzenie. Po jednej z nich wspina się córka autorki zdjęcia.

WWW.RODZINABEZGRANIC.PL





© Thomas P. Peschak, Niemcy/RPA, Rekinowy surfer

Thomas P. Peschak, Niemcy/RPA

ALIWAL SHOAL, DURBAN, RPA

Pod napięciem

Zaciekawiony żarłacz czarnopłetwy zbliża się do surfera. Popularne w RPA miejsce do nurkowania znakomicie nadaje się do testowania deski surfingowej wyposażonej w urządzenie elektromagnetyczne odstrasżające rekiny. Na pysku drapieżnika znajdują się pory wypełnione substancją galaretowatą, zwane ampułkami Lorenziniego, zdolne do wykrywania zmian pola elektrycznego. Wyczuwają nawet najmniejsze skurcze mięśni ofiary przygotowującej się do ucieczki. Zaawansowana technologicznie deska wytwarza pole elektryczne, które odstrasza rekiny i sprawia, że uciekają na bezpieczną odległość.

NAGRODA DLA FOTOREPORTERA: ZDJĘCIE POJEDYNCZE
SEKCJA: FOTOGRAFIA DOKUMENTALNA

FINALISTA

ZDJĘCIE I TEKST POCHODZĄ Z WYSTAWY FOTOGRAFIA DZIKIEJ PRZYRODY 2015, KTÓREJ PATRONEM MEDIALNYM JEST MIESIĘCZNIK POZNAJ ŚWIAT.
WWW.FOTOGRAFIADZIKIEJPRZYRODY.PL

Łukasz Nycz

INDONEZJA

Skuteczny pomocnik

Zdjęcie zostało wykonane na wyspie Komodo. Sześciolatek chłopiec (w koszulce Arjena Robbena z Bayernu Monachium) pomagał ojcu zarobić na życie, sam podnosił kotwicę i cumował łodzi. Wschodnie wyspy kraju są słabiej zagospodarowane i zdecydowanie biedniejsze niż okupowana przez turystów Jawa czy Bali.



Justyna Grabska

NEPAL

Do wyboru, do koloru

Pokhara to drugie co do wielkości miasto Nepalu. Ze względu na bliskość masywu Annapurny oraz widoki również na Dhaulagiri, Machhapuchhare, Manaslu, Peak 29 i Himalchuli jest to bardzo popularne miejsce wśród turystów. Do atrakcji Pokhary należy pięknie położone i spokojne jezioro Phewa Tal. Można przepłynąć po nim jedną z kolorowych łódeczek, które czekają przy brzegu.





THE TRAIL SPEAKS. WE LISTEN.



BALTORO 85



BALTORO 75



BALTORO 65



DEVA 80



DEVA 70



DEVA 60

Nowa linia plecaków BALTORO&DEVA dostępna w najlepszych sklepach outdoorowych:





Sandra Rostkowska

ISLANDIA

Okoliczności przyrody

Mimo że Islandia nie jest jeszcze masowo odwiedzana przez turystów, to trudno nie spotkać ich w sezonie. Jednak Fiordy Zachodnie, jeden z najpiękniejszych zakątków wyspy, to miejsce, do którego dociera stosunkowo niewielu.

Michał Kowalski

EKWADOR

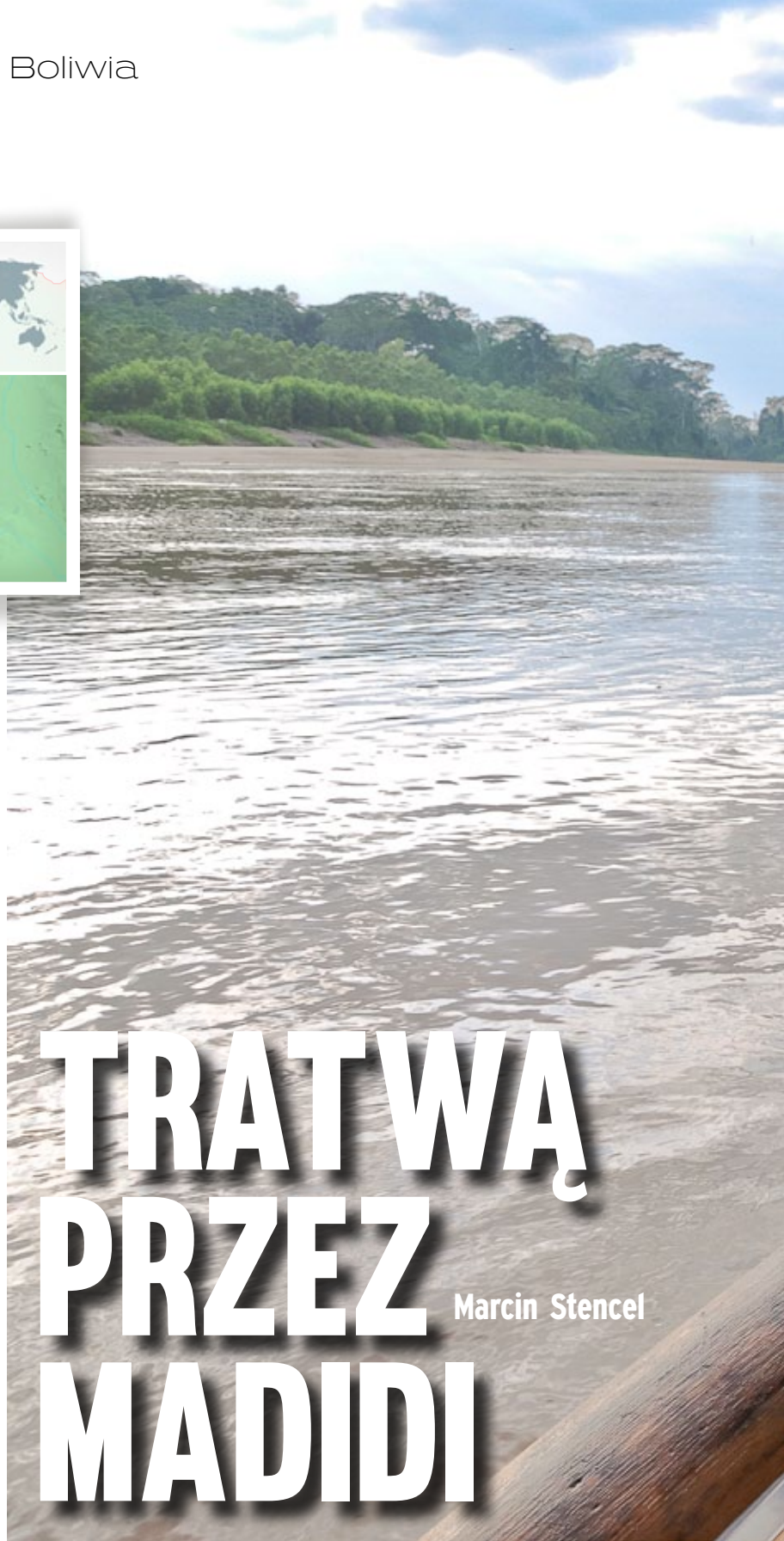
Nie ma ziela na kraterze

Trekking krawędzią krateru wygasłego wulkanu Quilotoa to niełatwe, kilkugodzinne wyzwanie. Najwyższy punkt sięga niemal 4 000 m n.p.m., a trasa składa się z wielu stromych zejść i długich podejść. Po drodze można obserwować ciekawą kolorystykę tafli jeziora znajdującego się wewnątrz krateru i lamy pasące się na zboczach góry. Jezioro powstało 800 lat temu po potężnej erupcji Quilotoi. Przy dobrej pogodzie można także podziwiać inne wierzchołki, m.in. aktywny wulkan Cotopaxi, który niedawno zwiększył swoją aktywność i wyrzuca duże ilości pyłu wulkanicznego.





Poranek na El Alto. Przylecieliśmy właśnie na jedno z najwyższej położonych międzynarodowych lotnisk pasażerskich na świecie – ponad 4000 m n.p.m. Widok po wyjściu z terminalu – ośnieżony sześciotysięcznik Huayna Potosi. Przed chwilą dowiedzieliśmy się, że samolot do położonej na nizinach miejscowości Rurrenabaque został odwołany z powodów technicznych. Zamiast 45-minutowego lotu czeka nas 17 godzin w autobusie... Bienvenidos a Bolivia!



TRATWA PRZEZ MADIDI

Marcin Stencel





FOT. MARGIN STENET

HYDROBUDOWA

Do budowy tratwy wykorzystano balsę – najłżejsze drzewo świata. Belki najłatwiej powiązać ze sobą, gdy są zanurzone w wodzie.

B było nas dwóch. Piotrka poznałem 15 lat temu w harcerstwie. Odkąd pamiętam, był dla mnie autorytetem w wielu sprawach i przede wszystkim przyjacielem. Spędziliśmy razem wiele tygodni na górskich wędrownkach, dwa lata wcześniej weszliśmy razem na Kazbek w Gruzji. Tym razem celem naszej wyprawy był spływ rzeką Madidi w Parku Narodowym Madidi – prawdopodobnie najbardziej zróżnicowanym biologicznie obszarem na ziemi i jednym z najtrudniej dostępnych miejsc dla człowieka. Na zajmującym prawie 19 tysięcy kilometrów kwadratowych obszarze doliczono się ponad 1 200 gatunków ptaków i prawie 300 gatunków ssaków. Cały czas odkrywane są tam nowe, endemiczne zwierzęta.

Rzeka Madidi rozpoczyna swój bieg w samym sercu parku i po pokonaniu 500 km wpada do rzeki Beni. Postanowiliśmy dotrzeć jak najbliżej jej źródeł, zbudować tratwę i spłynąć nią możliwie jak najdalej.

MRÓWKI JAK POCISKI

Dotarcie nad Madidi nie jest łatwe. Oce-niliśmy sytuację i doszliśmy do wniosku, że sami nie damy rady. Postanowiliśmy skorzystać z usług lokalnego przewodnika, który znał ten teren od podszewki – tak poznaliśmy Renato i jego syna Lasaro. Zrobiliśmy zakupy żywniowe i sprzętowe na kolejne trzy tygodnie, które mieliśmy spędzić razem w selwie – południowoamerykańskim lesie równikowym. Z plecakami ważącymi po 30 kilogramów ruszyliśmy o świcie w kierunku miasteczka Ixiamas.

Na początku czekała nas pięciodniowa przeprawa przez góry Totumo. Przez pierwsze trzy dni szliśmy w górę rzek Tequeje i Yuama i przechodziliśmy wielokrotnie z jednego brzegu na drugi. Rzeki te mają charakter górski, więc często musieliśmy przeciskać się pomiędzy przybrzeżnymi skałami. Większość trasy prowadziła jednak przez gęsty las i nierzadko musieliśmy schylać się pod zwalonymi konarami lub pokonywać bagna.



FOT. MARCIN STENZEL

Z TRUDEM PRZEZ BRÓD

Przez pierwsze kilka dni marszu wielokrotnie trzeba było przekraczać rzeki. Ciężkie, 30-kilogramowe plecaki nie ułatwiały tego zadania.

Już od pierwszych chwil napotykałymi liczne zwierzęta – kolorowe ary przypatrywały nam się z pobliskiej gałęzi. Widzieliśmy też jedno z najgroźniejszych amazońskich zwierząt – mrówki z gatunku *paraponera clavata*. Ból po ugryzieniu przez tę mierzącą nawet 3 cm długości mrówkę został porównany do bólu od rany postrzałowej – stąd jej angielska nazwa *bullet ant* (mrówka pocisk). Z kolei lokalni mieszkańcy nazywają je *buna* lub *veinticuatro* – dwadzieścia cztery, ponieważ ból nie ustępuje ponoć przez dobę od ugryzienia. Postanowiliśmy nie sprawdzać na własnej skórze prawdziwości tych teorii – przed nami zrobił to już entomolog Justin O. Schmidt, który ból po ugryzieniu porównał do „chodzenia po rozżarzonych węglach z trzyciałowymi zardzewiałymi gwoździami wbitymi w pięty”.

Prawdziwym problemem były meszki oraz pszczoły. Już pierwszego dnia naliczyliśmy po kilkadziesiąt ugryzień tych pierwszych. Z kolei pszczoły, zwabione zapachem wydzielanej

przez nas wraz z potem soli, dosłownie wariowały i na każdym postoju obsiadały nas wszędzie, wciskały się do oczu i uszu, a także pod ubrania. Każdy z nas zaliczał przynajmniej kilka ukąszeń dziennie.

Marsz przez las równikowy wymaga niezwykłego skupienia. Cały czas trzeba uważać, gdzie stawia się kolejne kroki, aby przypad-

MORPHO NA RENATO

Szacuje się, że w Madidi występuje ponad 120 tysięcy gatunków owadów. Na zdjęciu motyl z rodzaju *Morpho*, który przysiadł na głowie Renato.



FOT. MARCIN STENZEL



FOT. MARGEN STENDEL

TAPIR ANTA

Spokrewniony z koniem i nosorożcem tapir jest największym ssakiem lądowym w Amazonii. Na zdjęciu przedstawiciel gatunku *Tapirus terrestris*.

BÓL PO BULLET ANT

Paraponera clavata to mrówki osiągające 3 cm długości. Nazywane są pociskami, bo ból po ich ugryzieniu porównuje się do tego od rany postrzałowej.

kiem nie nadepnąć na jadowitego węża. Podczas wspinaczki po stromym zboczu zawsze należy najpierw spojrzeć na drzewo czy lianę, której zamierzamy się złapać, aby sprawdzić, czy czasem nie jest najeżona kolcami. W takich warunkach wyostrzają się wszystkie zmysły, choć trzeba dodać, że w porównaniu z naszym przewodnikiem czuliśmy się często jak dzieci we mgle. To za sprawą Renato udało nam się podkraść do niedużego stada pekari. Gdy wyczuły naszą obecność, zaczęły uciekać – na szczęście. Przestraszone, mogą zareago-

wać zupełnie na odwrót – atakiem, a wówczas pozostaje jedynie ucieczka na drzewo. To jednak nie koniec: pekari otaczają drzewo i ocierając się o nie, wytwarzają gazy, które mogą spowodować u nieszczęśnika utratę przytomności – jeśli spadnie, zostanie przez nie rozszarpany i pożarty...

MAŁPY ŻŁOTEGO PAŁACU

Piątego dnia osiągnęliśmy najwyższy punkt na trasie, z którego rozpościerał się wspaniały widok na niezmierzone połacie dziewiczej dżungli. Do Madidi już niedaleko i jeszcze tego samego dnia, po pokonaniu w sumie 50 km od początku trasy, dotarliśmy w końcu nad rzekę. Poziom wody uniemożliwił jednak spływ, więc przez kolejne trzy dni maszerowaliśmy wzdłuż Madidi, aż dotarliśmy do miejsca, w którym łączy się z pierwszą większą rzeką – Florą. W jej górnym biegu prawdopodobnie żyją nieutrzymujący kontaktu z cywilizacją Indianie Toromona. Nasz przewodnik opowiedział nam, że kiedyś udał się na odległość kilku dni drogi w górę Flory, gdzie znalazł strzały i połamany łuk, wykonane w całości z naturalnych materiałów. Szybko zawrócił – być może nie chciał podzielić



FOT. MARGEN STENDEL

domniemanego losu norweskiego biologa Larsa Hafskjolda, który zaginął w Madidi w poszukiwaniu plemienia Toromona...

Głębokość Madidi w tym miejscu pozwałała w końcu na rozpoczęcie spływu. Cały dzień zajęła nam budowa tratwy z drewna balsy – najłżejszego na świecie. Ścieliśmy około 10 drzew, zerwaliśmy z nich korę i powiazaliśmy je lianami. Balsa jest jednocześnie jednym z najszybciej rosnących drzew – osiąga wysokość powyżej 20 m w przeciągu 10–15 lat, dlatego nasza wycinka nie była zbyt dużą ingerencją w ekosystem.

Kolejny dzień nad Florą spędziliśmy na odpoczynku i łowieniu ryb, które wraz z ryżem stały się naszym podstawowym pożywieniem. Niektóre okazy były naprawdę spore – szybko przyzwyczailiśmy się do widoku nawet kilkudziesięciokilogramowych sumów (największa ryba, którą złowiliśmy, miała ok. półtora metra długości). Staraliśmy się łowić tyle, ile uznaliśmy, że zjemy, więc wszelkie większe ryby trafiały z powrotem do rzeki. Oprócz sumów często wyciągaliśmy z wody pstrągi, *yatorany* i paku (rodzaj dużej piranii). Kilka razy, gdy przechodziliśmy przez rzekę, widzieliśmy również płaszczyki. Za wędki służyły nam żyłki nawinięte na kawałek balsy. W trakcie jednego z połowów zdarzyła się pouczająca przygoda – podczas zdejmowania z haczyka niedużego suma kolec grzbietowy ryby przebił dłoń Piotrka. Akurat trafił na żyłę, więc musieliśmy szybko zatamować dość obfite krwawienie.

Wśród zwierząt, które do tej pory zdążyliśmy już zauważyć, znalazły się małpy sklasyfikowane przez naukowców dopiero w 2004 roku. Prawo do nadania nazwy nowemu gatunkowi zostało wystawione na aukcję. Zarobione w ten sposób ponad pół miliona dolarów przeznaczono na cele związane z ochroną parku, a zwycięzcą okazało się... kasyno Golden Palace z Las Vegas. Dlatego małpy te znane są pod angielską nazwą „GoldenPalace.com monkeys” (łac. *Callicebus aureipalatii*).

CĘTKOWANY DUCH DŻUNGLI

W końcu rozpoczęliśmy upragniony spływ! Rzeka wiła się leniwie – średnia prędkość płynięcia nie przekraczała 3 km/h, a liczba

meandrów powodowała, że praktycznie nie udawało nam się pokonać więcej niż 10 km w linii prostej jednego dnia. Napotkaliśmy jednak kilka bystrzy, przy pokonywaniu których od razu podnosiła się nam adrenalina. Raz nieomal wyróciliśmy tratwę, a cała załoga skąpała się w wodzie.

Byliśmy podekscytowani perspektywą zobaczenia kolejnych zwierząt. I rzeczywiście,



FOT. MARCIN STENDEL

przez następne dni z bardzo niedużej odległości widzieliśmy kapibary, wydry, aligatory, kajmany, liczne ptaki (m.in. ary, zimorodki, kolibry, kormorany, sokoły, wikłacze, różne gatunki czapli) i kilka gatunków małp (czepiaki, kapucynki, sajmiri, tamaryny i wyjce rude). Dwukrotnie udało nam się również zobaczyć tapiry, które przyłapaliśmy na beztróskiej kąpieli. Raz też w środku nocy tapir wtargnął w sam środek naszego obozowiska i obudził wszystkich. Cały czas nie opuszczała nas nadzieja na zobaczenie któregoś z dużych kotów

W SUMIE CAŁKIEM SPORY

W rzekach Parku Narodowego Madidi doliczono się prawie 500 gatunków ryb. Wędkarzom trafiały się nawet kilkudziesięciokilogramowe sumy.



FOT. MARCIN STENCEL

KRÓLEWSKIE POŻEGNANIE

Każdego dnia podróżnicy widzieli ślady króla dżungli, ale jaguar ukazał się im tylko raz – wyszedł na pożegnanie ostatniego dnia spływu.

– ich ślady pozostawione na piasku widzieliśmy każdego dnia.

Po kilku dniach spływu na moich stopach zaczęła się rozwijać grzybica, którą dodatkowo pogarszały otarcia. W takich warunkach bardzo łatwo o zakażenie. W pewnym momencie nie byłem w stanie nawet chodzić – kilkadziesiąt metrów od tratwy do obozowiska pokonywałem na czworaka. Niestety, poza tal-

kiem, który dawał tylko chwilowe wytchnienie od bólu, w naszej apteczce nie znalazł się żaden środek przeciwwgrzybiczny. Jakby tego było mało, miałem muszycę skórą – w nodze wykluła mi się pasożytnicza larwa muchówki. Zanim się zorientowałem i ją wyciągnąłem, zdążyła osiągnąć długość dwóch centymetrów.

Pierwotny plan wyprawy zakładał spłynięcie całej Madidi aż do jej ujścia do rzeki Beni. Niestety, na podstawie kalkulacji średniego pokonywanego dystansu doszliśmy do wniosku, że może zabraknąć nam kilku dni i możemy nie zdążyć na lot powrotny do Polski. Podjęliśmy decyzję o zakończeniu spływu przed czasem w obozowisku rybackim Puerto Serima. Jest to jedyne miejsce nad całą Madidi, do którego można dojechać samochodem (podobno w przyszłości ma tędy prowadzić droga do Puerto Maldonado w Peru). Problem w tym, że nikt z nas dokładnie nie wiedział, gdzie owe obozowisko się znajdowało, więc atmosfera zaczynała się robić trochę nerwowa.



FOT. MARCIN STENCEL



FOT. MARCIN STENCEL

Jedenastego i – jak się później okazało – ostatniego dnia spływu padło długo wyczekiwane przez nas hasło: „Jaguar!”. Jak na króla selwy przystało, zwierzę siedziało dostojnie na plaży i z brakiem zainteresowania spoglądało na przepływających 50 metrów od niego ludzi. Czuliśmy się tak, jak gdyby sam duch dżungli wyszedł nam na pożegnanie, by nagrodzić naszą dotychczasową wytrwałość tym niesamowitym widokiem.

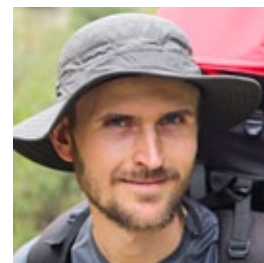
Pod wieczór dotarliśmy do Serimy. Na szczęście przy brzegu stała zacumowana łódź, inaczej mielibyśmy ogromny problem ze zlokalizowaniem obozowiska. Spotkaliśmy też pierwszych od trzech tygodni ludzi. W tym miejscu, po przepłynięciu 250 km, skończyliśmy spływ Madidi z nadzieją, że jeszcze kiedyś tu wrócimy i go dokończymy.

Niestety, za jakiś czas może jednak nie być już do czego wracać. W zeszłym roku prezydent Boliwii Evo Morales wydał dekret, który umożliwia praktycznie nieograniczone wydobywanie surowców naturalnych na tere-



nach chronionych. Poza tym w planach są dwa duże projekty – droga, która ma przeciąć park i połączyć miasta Apollo i Ixiamas, a także budowa elektrowni wodnej, która może przyczynić się do zalania znacznej powierzchni parku. Nad Madidi gromadzą się czarne chmury. ○

WIELKA ŚWINIA WODNA
Kapibara wielka jest największym gryzoniem na świecie. Jej nazwa naukowa (*Hydrochoerus hydrochaeris*) oznacza świnie wodną.



Marcin Stencel

Wrz z żoną Kariną przez ponad rok włączyli się po Ameryce Południowej, co opisali na blogu karinaimarcin.pl. Od niedawna podróżują w składzie poszerzonym o dwie pociechy (Antoś i Nadzieja) oraz organizują Gdyńskie Warsztaty Podróżnicze. Zawodowo uczy angielskiego i prowadzi prelekcje ze swoich wyjazdów.



Magdalena Chodownik

TRĄBKI

Z BAŁKAŃSKIEGO



FOT. MAGDALENA CHODOWNIK

Dym z palenisk, zapach pieczonej zwierzyny i opary alkoholu mieszają się z głośnymi rozmowami, śmiechem oraz tym, co tu najważniejsze – śpiewem i muzyką. Festiwal Trąbki w Guczy to jedyna w swoim rodzaju uczta dla fanów bałkańskiego folku.

Ta mieszanka wypełnia każdy zakamarek nie tylko restauracji, ale i całej Guczy. Zamknięta w dolinie, okrążona wzgórzami wieś nie pozwala wydostać się stąd zapachom i dźwiękom, więc te kłębią się, wpadają na siebie, przepychają, tworząc surrealistyczną, przydymioną kakofonię. To bałkański kocioł w innym, niż się przyjęło, wydaniu. Wre w nim to, co w Bałkanach najlepsze – humor, życzliwość, zabawa. Wszystko suto przyprawione rakiją, tłustym jedzeniem i dźwiękiem niestrudzonych trąb.

W OPARACH RAKII

Na rożnie kręci się duży, soczysty prosiak, który za moment wyląduje w kawałkach na talerzach. Obok stanie jedna butla z rakiją, a druga z wodą na popicie. Dostawią wprawdzie szklanki, ale raczej po to, by nie zawra-

KOTŁA



FOT. MAGDALENA CHODOWNA

SILENTIUM BEZ TRĄBKI

Pole namiotowe nad ranem – jedyna chwila na festiwalu w Guczy, kiedy nie słychać trąbki.

cać sobie głowy kieliszkami – przy ilości alkoholu, jaka się tu poleje, małe dozowniki będą zbędne.

Goran podnosi rękę do góry, nie odrywając wzroku od wielkich półmisków z jedzeniem. Pstryka palcami i za kilka sekund jego stolik otaczają trębacze. Są też bębniarz i tancerka, która nieustannie kołysze biodrami. Cekiny przyczepione do jej paska brzęczą niecierpliwie. Trębacze nabierają powietrza w płuca. Wszyscy są gotowi zagrać, zaśpiewać i zatańczyć zgodnie z życzeniem. *Djurdjevdan*, znana bałkańska pieśń, idzie na pierwszy ogień. Podrywa z krzeseł nie tylko zamawiającego, ale i siedzących przy stolikach. Zatrzymują się też ludzie, którzy właśnie przechodzą obok restauracji. Liryczną opowieść o nieszczęśliwej miłości i rozłące zna każdy, kto choć raz był na Bałkanach lub miał styczność z twórczością Bregovića czy Kusturicy. „*A ja nie jestem z moją ukochaną...*” wyśpiewuje zgodnie tłum zebrany wokół stolika. Pierwsza piosenka przechodzi płynnie w kolejną. Rytm przyśpiesza. Wszyscy klaszczą, śpiewają, tańczą.

Aż sześć trąbek skierowanych jest w stronę głowy Gorana, kilka centymetrów od niej. Dudnią, ile sił w płucach, a ten wcale nie zakrywa uszu. Na jego twarzy gości szeroki uśmiech, a wyciągnięte w górę ręce kołyszą się w powietrzu. Chór stworzony z osób siedzących w pobliżu rozkręca się w najlepsze. Jedynie *živeli!* (serbskie „na zdrowie!”) przerywa zwrotki śpiewanego tekstu. Przed restauracją grupki przypadkowych przechodniów tańczą *kolo*, tradycyjny taniec, wykonywany z trzymaniem się za ręce. W powietrze fruną banknoty. „Fundatorzy” przyklejają je do mokrych od potu czoł trębaczy lub wkładają do trąbek. Muzyków należy wynagrodzić – nikt nie szczędzi na to pieniędzy.

Kolejna grupa muzyków okrąży inny stolik. Tam też grają, śpiewają i tańczą – na parkietach i... na stołach. Poprzebierani i półnady. Tak jest też w sąsiednim barze i na ulicy, gdzie przechodniów zaczepiają kolejni rozbawieni trębacze. A może to raczej weseli przechodnie zaczepiają muzykantów? Bez różnicy. Zabawa jest wspólna. A piwo leje się do gardeł, na głowy i w powietrze, fundując zebranym chmielowy prysznic.

GU CZ A JAK JUGOSŁAWIA

Ta niewielka wieś na południu Serbii, której cisza jest zakłócana tylko pianiem kogutów, muczeniem krów i pracą traktorów, raz w roku latem staje się miejscem spotkań muzyków i fanów bałkańskiego folku. Festiwal Trąbki, oficjalnie zwany Festiwalem Dragaczewskim (od nazwy regionu, w którym się odbywa), trwa cały tydzień. Tłumy gości, których co roku przybywa (nawet pół miliona), oraz grupy trębaczy snują się hucznie po wąskich uliczkach do rana. Cała wieś bawi się, póki sił starczy i póki nie zwycięży sen.

O świcie wieś przykrywa mgła. To jedyny moment, który pozwala wyobrazić sobie to miejsce bez szaleńczych zabaw. Ale kiedy przyjeźdźni w mlecznoszarych oparach odspiają noc, handlowcy zaczynają rozstawiać swoje stoiska z pamiątkami. Zanim ruszą do rozkładania koszulek, czapeczek, breloczków z trąbkami, kolorowych peruk, które cieszą się tu dużą popularnością, czy płyt z folkową muzyką, muszą wybudzić się po nieprzespanej nocy. Na małych gazowych palnikach parzą czarną, mieloną kawę. Siedzą grupkami, żartują, rozmawiają. W tle gra muzyka, oczywiście z trąbek, ale puszczana z płyt, bo zespoły też jeszcze śpią. Te szybkie folkowe rytmy skutecznie przeganiają znużenie i senność!

W szykujących się do otwarcia restauracjach można już zamówić tradycyjne śniadanie: kawę i rakiję. Jak twierdzą miejscowi, nie ma lepszego sposobu na niedospane poranki. Nim mgła się rozproszy, grupy mężczyzn zasiadają na restauracyjnych gankach i popijają – raz z filiżanki, raz z kieliszka.

Niektóre z wypakowywanych pamiątek mogą budzić kontrowersje: są czapki czetników, w których przechadzają się beztroscy turyści, są i koszulki z Karadżiłem czy militarne gadzety. Można też usłyszeć dość brutalne rozmowy o niedawnych konfliktach – to wciąż

Z ZADĘCIEM

Koncert ekipy w galowych, tradycyjnych strojach. Oprócz rozbawionych muzyków przygrywających gdzie popadnie, są tu także dwie sceny, na których występują zaproszeni goście.

POMNIK TRĘBACZA

Przybywające zespoły, także te z zagranicy, chętnie prezentują swoje umiejętności przy pomniku trębacza w centrum wsi.





FOT. MAGDALENA CHODOWNIK

MUZYKA ŁĄCZY BAŁKANY

Ten widok na parking w Guczy obrazuje skalę zainteresowania fanów instrumentów dętych. Przyjeżdża tutaj z całych Bałkanów nawet pół miliona ludzi. Za parkingiem widoczna w głębi wieś, która gości całe to towarzystwo.

TRĄBIENIE DO KOTLETA

Obok straganów z *pljeskavicą* i pieczonymi świniami, z roku na rok w Guczy przybywa dużych i gwarnych restauracji, gdzie się je, pije i oczywiście trąbi.

żywy temat na całych Bałkanach. Sam festiwal w Guczy nie ma jednak politycznego charakteru. Rozpoczęty w 1961 roku jeszcze za czasów Tito, jest festiwalem wszystkich byłych republik jugosłowiańskich. Odbywa się każdego roku, nieprzerwanie od 55 lat. Wojny, konflikty czy bombardowania tego nie zmieniły – wciąż zjeżdżają tu także i Chorwaci, i Bośniacy. Choć trąbki to właściwie specjalność serbska,

Gucza jest festiwalem, który mimo starych i nowych podziałów łączy Bałkany. Wspólnie zasiada się przy stole, wspólnie spędza czas i wspólnie śpiewa bałkańskie przeboje.

Gucza na czas festiwalu staje się jednym wielkim campingiem. Jest tu ogromne obozowisko wzdłuż przepływającej przez wieś rzeki. Można też skorzystać z miejsc oferowanych przez mieszkańców i rozstawić namiot w ich ogródkach. Druga opcja jest o tyle przyjemniejsza, że prócz bliższego kontaktu z mieszkańcami Guczy można także spróbować dań przygotowywanych przez nich samych – domowych serów, gulaszy, pieczonych warzyw i baraniny. A i dostęp do prysznicy jest ułatwiony, bo im mniejszy camping, tym kolejki do natrysku krótsze. Chociaż i z tym można sobie poradzić. – *Kiedyś pękła rura i cała Gucza nie miała wody* – wspomina Vladimir, mieszkaniec pobliskiego miasta Czaczak, którego rodzina mieszka właśnie w Guczy. – *I wiesz, co ludzie robili? Oblewali się rakiją!*

UBAW W STYLU DOWOLNYM

Vladimir zajmuje się dowozem imprezowiczów z Czaczaku do Guczy. Ma mocno zużyty



FOT. MAGDALENA CHODOWNIK

samochód, którego szyby się nie otwierają. Traf chciał, że jedno z tylnych okien wyleciało, więc – jak sam mówi – teraz ma klimatyzację. Kiedy w samochodzie robi się nieznośnie duszno od temperatury na zewnątrz i papierosów wewnątrz, otwiera drzwi kierowcy i wietrzy auto. W trakcie jazdy także. Pracuje całodobowo, bo nie wiadomo, kiedy dotrą turyści. Jedni przyjeżdżają autobusami, inni autostopem, do Czaczaku trafiają o najróżniejszych porach dnia i nocy. Vladimir odeśpi swoje „po Guczy”, zresztą tak samo, jak i cała reszta.

Prócz biesiad, wszechobecnych tańców i krzających się po całej wsi zespołów trąbkarzy zjeżdżają tu na koncerty turyści. Na lokalnym stadionie wybudowano scenę, która gości największe sławy muzyki bałkańskiej, jak Goran Bregović czy Boban i Marko Markocić. Co roku wybierany jest trębacz roku i orkiestra trębaczy roku – tytuły, które otwierają wiele dróg do płyt, kontraktów i koncertowania. Od kilku lat przyjeżdżają tu również orkiestry zagraniczne. Na stadionie, pod sceną, zbierają się tłumy ludzi, którzy chcą wysłuchać tych najlepszych i najbardziej znanych. Są poprzebierani, w kolorowych perukach albo w dresach, bo tu nikt się nie przejmuje, czy bluzka pasuje kolorem do spodni i czy aby jest „wyściowa”. Publika najmniej martwi się butami, bo wiele osób je po prostu zdejmuje – tak wygodniej się tańczy.

Od pierwszych wydobytych nut zaczyna się wielki aplauz, klaskanie i tańce. Style – do-

wolne. Można nieśmiało przeskakiwać z nogi na nogę. Można przyłączyć się do tradycyjnych serbskich tańców. Można pogować pod sceną, oblewając się rakiją i piwem. Można tarzać się po trawie albo siedzieć na niej spokojnie, kontemplując roznoszące się po dolinie dźwięki. Można też wskoczyć komuś na ramiona i bujać się na wysokościach albo tańczyć z flagą własnego kraju. Wszystkie pomysły dozwolone.

A to, co wyprawiają muzycy na scenie, to prawdziwe arcydzieła dźwięków porwijące tłumy. Prócz tradycyjnej muzyki i nowych kawałków pisanych pod trąbki można usłyszeć największe międzynarodowe hity przerobione na bałkańską nutę. Każdy unerwiony kawałek ciała czuje rytm wydmuchiwany przez trąbki. Tym właśnie – pasją i kunsztem – tutejsi trębacze zdobywają serca i dusze nie tylko lokalnych, ale i zagranicznych uczestników. Nic dziwnego, że sam Miles Davis po przyjeździe na Guczę stwierdził: – *Nie wiedziałem, że tak można grać na trąbkach!*

Po zakończonym koncercie wylewający się ze stadionu tłum rusza na dalszy podbój wciąż otwartych restauracji i barów. *Pljeskavice, čevapčići, bureki* czekają na wymęczonych tańcami, głodnych i spragnionych ludzi. Podobno festiwal pochłania 3 tony chleba, 300 tys. porcji mięsa i ponad 3 miliony litrów piwa. No a litrów rakii nikt nie zliczy, bo domowych produkcji nie da się w Serbii skontrolować. ○



Magdalena Chodownik

Dziennikarka, reporterka, od 13 lat podróżuje po świecie. Mieszkała we Francji, Austrii, Stanach Zjednoczonych, Tajlandii, Bahrajnie, Mołdawii. Zwiedziła ponad 60 krajów. Miłośniczka Bałkanów, do których często wraca.

ZESZŁO POWIETRZE

Od muzyki się nie ucieknie, bo jest ona tutaj dosłownie wszędzie. Ale przynajmniej odetchną nogi. No i płuca też!







Slumsy w porcie Pomako.
Idę po pomostach nad
bagnami pełnymi śmieci,
ludzkich odchodów oraz
krokodyli. Przede mną kilka
zgniłych od wilgoci chatup.
Z jednej z nich wychodzi
czterech pijanych Papu-
asów z plemienia Kamoro.
W rękach mają maczety
i są bardzo agresywni.
Zaczynają biec w moją
stronę, chyba będą kłopoty...
Ale zacznijmy od początku.

Rafał Kośnik

GDZIE ŁOWCA STAJE SIĘ ZWIERZYNA



FOT. PAPAZI LOSKWA

ZATOKA TRYTONA

To jedno z najbardziej zjawiskowych miejsc do nurkowania na świecie. Ogrom i różnorodność ryb oraz innych stworzeń występujących w wodach jest oszałamiający.



Moja podróż życia (mówię tak o każdej kolejnej) na Nową Gwineę przebiegała z miejscowości Kaimana do Timiki. Szacunkowo to około tysiąca kilometrów nieprzebytej dżungli, rzek, urwisk skalnych i bagien. Początkowo chciałem tę trasę przepłynąć wzdłuż Morza Arafura tradycyjną łodzią papuaską, jednak szybko musiałem zweryfikować plany. Komunikacja z tubylcami była bardzo trudna, nikt w kilkutysięcznym miasteczku nie mówił po angielsku w stopniu podstawowym. Poza tym łodzie, które były ewentualnie do kupienia, kompletnie nie nadawały się na warunki, jakie panowały na morzu. Styczeń i luty to okres największych pływów, prądy są bardzo silne, a fale ogromne. W tym czasie często zdarzają się zatonięcia

dużych kutrów rybackich, więc mała dłubanka nie miałaby szans przetrwać tej wyprawy.

Musiałem być elastyczny i dostosować się do sytuacji. Po trzech dniach bezowocnego błądzenia po plaży dopisało mi szczęście. Spotkałem dwóch przewodników, którzy przylecieli z Jayapury oddalonej o osiemset kilometrów, aby pomóc amerykańskim naukowcom w organizacji ekspedycji. Jej celem było dotarcie do prymitywnie żyjącego plemienia Mairasi. Zaproponowali mi udział w tym przedsięwzięciu. Zgodziłem się bez wahania, ponieważ ich trasa w dużej mierze pokrywała się z moją.

RAJSKIE PTAKI, PIEKIELNE PRAGNIENIE

Ruszyliśmy w drogę, najpierw do Zatoki Trytona, jednego z najpiękniejszych miejsc nurkowych na świecie. Po drodze mijaliśmy prastare malowidła naskalne, które ciągnęły się ponad kilometr. Wreszcie dotarliśmy do brzegu. Teren, przez który się przedzieraliśmy, wymagał bardzo dobrej kondycji. To było piękne, a zarazem trudne doświadczenie. Niezłe dały mi w kość wysokie góry porośnięte gęstą dżunglą, a do tego chroniczny

brak wody, której nie mogliśmy brać zbyt dużo na zapas, bo była dodatkowym ciężarem. Do dzisiaj, gdy pomyślę o pragnieniu, które mi wtedy dokuczało, przechodzą mnie dreszcze. Człowiek nie potrafi się skupić na niczym innym, tylko ciągle myśli o wodzie, o tym, jak ją zdobyć.

Cały czas towarzyszyły nam zjawiskowo piękne rajskie ptaki, dzioborożce czy zdumiewająco barwne papugi. Po drodze minęliśmy niezwykle jezioro, było gigantyczne (szacunkowo kilkaset hektarów), a woda kryształowa w kolorze turkusowym. Nigdy wcześniej nie widziałem tak czystego słodkowodnego zbiornika, woda była przejrzysta na kilkadziesiąt metrów i gdy się na nią patrzyło, miało się wrażenie, że to powietrze. Jezioro otaczały dookoła wysokie urwiska, tylko w niewielu miejscach można było wyjść na brzeg.

Płynęliśmy tradycyjną papuaską dłubanką, bardzo wywrotną. W promieniu wielu kilometrów nie było żywej duszy. Po drodze zatrzymaliśmy się przy pięknym wodospadzie, powstałym z rzeczki, która wypływała z jeziora i spadała kilkanaście metrów w dół. Kawałek dalej rzeka zniknęła pod ogromną skałą. Geologia Papui jest niezwykła.

PRAWDZIWI MYŚLIWI
Papuascy myśliwi z żyjącego dziko plemienia Mairasi to mistrzowie sztuki przetrwania w dżungli.



APLIKACJE W DŻUNGLI

Po kilku dniach dotarliśmy do plemienia Mairasi. Mieszkańcy przyjęli nas bardzo życzliwie. Żyją prosto. Chaty są zbudowane wyłącznie z materiałów naturalnych, bez użycia nawet jednego gwoździa. Głównym pożywieniem tej społeczności są kazuary, mączka z drzewa sagowego i dzikie świny pekari. Jednemu z tubylców pokazałem kilka



aplikacji na iPadzie, a w jego oczach widziałem szok i niedowierzanie. Patrzył na mnie jak na istotę z innej planety. Takie starcie cywilizacyjne było niezwykłym doświadczeniem, zarówno dla tubylców, jak i dla mnie.

Po dwóch dniach ruszyliśmy dalej. Na pożegnanie dostałem od gospodarzy grot włóczni znalezionej przez nich w dżungli, prawdopodobnie z czasów, kiedy jeszcze byli tam Holendrzy. Wyglądał na bardzo stary. W ramach rewanżu dałem im haczyki i żyłki na ryby. Wreszcie po kilku dniach dotarliśmy ponownie do morza, tam rozstałem się z towarzyszami podróży. Oni wrócili do Kaimana, ja natomiast musiałem dalej kombinować, jak dostać się do Timiki. Byłem zdany na siebie. Skończyło się na tym, że dokonałem abordażu na gigantyczny prom, który przepływał gdzieś na horyzoncie. W tej akcji pomógł mi jeden z rybaków, który szczęśliwym tra-

fem znalazł się w pobliżu. Miał co prawda starą łódkę, jednak z wielkim silnikiem, który umożliwił pogoń za statkiem.

Pościg był czystym szaleństwem. Ogromne fale, a potem wiry silników prawie nas zatopiły. Uderzyliśmy burtą o prom, co spowodowało poważne uszkodzenie naszej łodzi. Akcja przypominała te z filmów o Bondzie. Tysiące ludzi na pokładzie dopingowały nas, abyśmy się nie poddawali. W końcu załoga spuściła nam niewielki mostek, ale jednostka cały czas płynęła na pełnych obrotach. Ryzyko było ogromne. Utrzymanie równowagi przy tak wielkich falach i dużej prędkości było nie lada wyczynem. Adrenalina buzowała. Wreszcie znalazłem się na pokładzie. Tłum Papuasów wiwatował, były pamiątkowe zdjęcia i uściski dłoni. Takie chwile pamięta się do końca życia.

WYGNANI NA BAGNA

Następnego dnia dotarłem do Timiki. Miałem kilka dni od losu, postanowiłem je dobrze wykorzystać. Dwa dni spędziłem w slumsach portu Pomako. To przerażające, a zarazem intrygujące miejsce. Kiedy tam się znalazłem, przypomniałem sobie słowa, które powiedział kiedyś Bill Gates: „Pamiętaj, że świat nie jest sprawiedliwy”. Slumsy w Pomako to bardzo niebezpieczne miejsce. Pełne pijanych i agresywnych Papuasów, którzy pochodzą głównie z eksterminowanych plemion Amungmne i Kamoro. Jednak gdy się zagłębić w genezę ich problemów, które doprowadziły do takiego stanu rzeczy, można zrozumieć, że ich wygląd i to, w jakich warunkach żyją, całkowicie odbiega od ich wielopokoleniowego trybu życia. Można wtedy przekonać się, kto tu naprawdę jest barbarzyńcą.

Sytuacja rdzennych mieszkańców Papui Zachodniej stała się beznadziejna, gdy ten rejon został przejęty przez Indonezyjczyków w latach sześćdziesiątych, kiedy to dyktator Suharto został prezydentem. Przejął władzę dzięki manipulacjom rządów zachodnich, w ramach rewanżu sprzedał za bezcen większość zasobów naturalnych Indonezji wielkim korporacjom, które podpisały lukratywne kontrakty na wydobycie różnych złóż na Papui i zaczęły pod ochroną wojsk legalnie grabić ten teren.

BLISKO DO ROBOTY

Chaty rybackie na wybrzeżu Kaimana. To niewielka miejscowość, zamieszkała przez 13 tys. ludzi, utrzymujących się w dużej mierze z rybołówstwa.



FOT. RAFAŁ KOŚNIK



PRZYJACIEL W BIEDZIE

Chłopiec ze slumsów Pomako bawi się z psem. Prawdziwe uczucie do zwierząt (i vice versa) nie ginie nawet w biedzie.

Żołnierze wysiedlali plemiona Papuasów z rejonu górskiego. Wygnali ich na bagna położone niedaleko Timiki. W klimacie odmiennym od tego, w którym do tej pory mieszkali, tubylców zaczęły dziesiątkować choroby tropikalne, takie jak malaria, denga i inne. Tych, którzy stawiali opór przy wysiedlaniu, zabijano.

Rdzenni mieszkańcy pogodzili się ze swoim losem, nie widzieli szans na zmianę sytuacji. W pamięci szczególnie zapadły mi dzieci, które całymi gromadami chodziły bez jakiejkolwiek opieki. Ich wielkie oczy, w których można było zobaczyć strach pomieszany z dziecięcą ciekawością, na zawsze zostaną w moim sercu. Widziałem, jak się bawiły w warunkach i miejscach, które były przerażające. Biegały po pomostach zrobionych ze spróchniałych desek. Pomosty niekiedy miały po kilkaset metrów i ciągnęły się nad bagnami, w których było pełno krokodyli i ludzkich odchodów. Wysokie temperatury i wilgotność powodowały, że panował tam smród nie do wytrzymania. Co kawałek znajdowały się skupiska domów, które

przypominały domy tylko z nazwy. W istocie były to zbutwiałe od wilgoci lepianki. Warunki koszmarne.

Co chwilę musieliśmy wraz z moim przewodnikiem uciekać na skuterze przed bandami pijanych mężczyzn, którzy biegiem



FOT. RAFAŁ KOSŃK

zmierzali w naszą stronę i wymachiwali maczetami. Gdybyśmy zostali, konfrontacja byłaby nieunikniona. Ponieważ znałem historię tych ludzi, rozumiałem, że nie przepadają za białymi.

TOTALNA OCHRONA

Betel żuje większość ludzi dorosłych, a nawet dzieci. Dezynfekuje on przewód pokarmowy i działa pobudzająco, ale zęby ulegają trwałemu przebarwieniu.



FOT. RAFAŁ KOŚNIK

WYGNANY, ALE NIE ZŁAMANY

Dumny rybak z plemienia Amungme – to najbardziej dotkliwie odczuło przekleństwo złota znalezionego na terenach, z których Papuasi zostali wygnani.

WĘDKOWANIE ZA CHIŃSKĄ ZUPKĘ

Po tych wydarzeniach wróciłem do miasta, gdzie udało mi się zorganizować przewodników, z którymi wyruszyłem na czterodniową wyprawę do wioski plemienia Kamoro. Motywem przewodnim było wędkowanie, którego jestem fanem. Właśnie ono spowodowało, że nabawiliśmy się kłopotów. Gdy ludzie z Kamoro dowiedzieli się, że łowimy na ich terenie, zaczęli stwarzać poważne problemy. Musieliśmy ich udobruchać tytoniem i kani-

strem paliwa. Było niebezpiecznie, ale wyszliśmy z opresji.

Następnego dnia popłynęliśmy do wioski, aby spotkać się z szefem tego regionu. Przywitano nas życzliwie. Rozdaliśmy dzieciom podarunki, zupki chińskie, które są tam przysmakiem, coca-cole, papierosy, kolejny kanister paliwa. Kupiłem też od miejscowych cztery rzeźby. Ludzie z plemienia Kamoro nazywani są artystami z dżungli, ich rękodzieła są cenione na całym świecie. Po tej wizycie wszyscy byli zadowoleni. Uzyskaliśmy zgodę na wędkowanie. Miałem okazję powalczyć z papuaskimi potworami. To było wspaniałe uczucie, gdy potężne baramundi wyskakiwały wysoko nad wodę i próbowały wyszarpać sobie z pyska hak.

W końcu moja papuaska przygoda dobiegła końca. Wracam myślami do momentu, kiedy ją przygotowywałem w domu. Siedziałem w wygodnym fotelu przed komputerem. Pamiętam, że cała ta wyprawa wydawała się surrealistyczna, nielogiczna i niemożliwa w realizacji. Ale, jak powiedział Albert Einstein, „logika doprowadzi nas z punktu A do punktu B, natomiast wyobraźnia – wszędzie”. ◉



FOT. RAFAŁ KOŚNIK

NATURA GÓRĄ

Matka z plemienia Mairasi karmi jedno z sześciorga swoich dzieci. Tamtejsi ludzie żyją bardzo prymitywnie, jednak w zgodzie z otaczającą ich naturą.



Rafał Kośnik

Współautor książki „Amazonia: Piekierne Piękno. Kiedy przygoda zderza się z życiem”. Z zamilowania podróżnika, z zawodu ogrodnik. Poszukuje przygody, ekstremalnych wyzwań i miejsc, do których trudno dotrzeć. Szczęśliwy mąż, tata dwójki synów, Amadeusza i Vincenta. Książkę można nabyć pod adresem: amazoniaextreme.pl

Madame TWARDA SZTUKA

Paulina Kańska

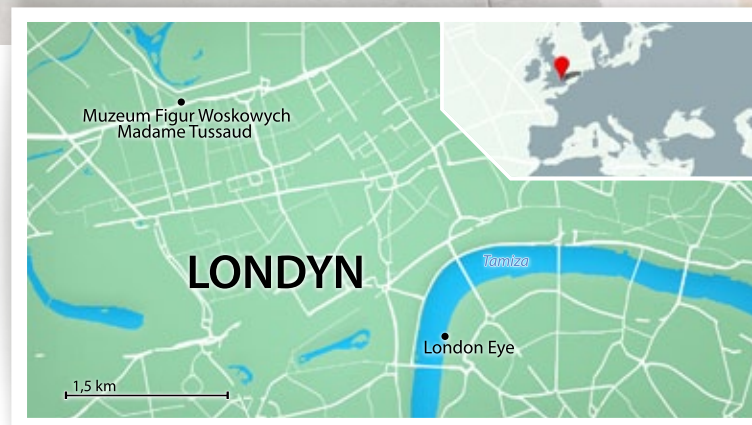


Paryż, rok 1794, okres Rewolucji Francuskiej. Szczupła, niziutka kobieta w eleganckiej sukni brodzi wśród trupów pod gilotyną. Wreszcie znajduje właściwą głowę i znosi do swojej pracowni. To Robespierre... Dziś jego woskową maskę wykonaną przez Madame Tussaud możemy podziwiać w słynnym londyńskim muzeum.

Marie Grosholtz, znana lepiej jako Madame Tussaud, założycielka londyńskiego Muzeum Figur Woskowych, urodziła się w XVIII wieku w Strasburgu. Swoją sztukę zawdzięczała mozolnej nauce pod okiem lekarza, który tworzeniem figur zajmował się dla ilustrowania anatomii. W wieku 16 lat wykreowała swoją pierwszą postać z wosku – Voltaire’a.



Do tworzenia oczu Madame Tussaud używała szklanych gałek. Za włosy służyła jej sztuczna peruka lub resztki zakupione od fryzjera. Najbardziej makabrycznym elementem jej woskowych rzeźb były zęby. W czasach Marie Tussaud niewiele osób stać było na wizytę u dentysty. Korzystano więc z usług „fachowców”, którzy stali na targach z obcęgami i wrywali bolącego zęba za cenę 15 sou; albo 10 – jeśli pacjent zgodził się go oddać. Takie



właśnie zęby trafiły potem do woskowych figur. Stworzenie jednej postaci zajmowało Madame Tussaud kilka tygodni.

WŁOS ZA WŁOSEM

Obecnie nad pojedynczą figurą dla londyńskiego muzeum sztab artystów pracuje minimum cztery miesiące. Do wyrobienia samej rzeźby z wosku potrzebnych jest dwóch specjalistów. Jeden pracuje nad korpusem, drugi nad twarzą. Oprócz nich do zespołu należą również renomowani styliści, fryzjerzy, malarze i wizażyści. Malowanie pary gałek ocznych trwa średnio 10 godzin. Dziesięć warstw farby olejnej i dwadzieścia różnych odcieni podkładu używanych jest do oddania koloru ludzkiej cery. Ale najtrudniejszym elementem jest fryzura. Każdy

Beatles



włos jest przyklejany pojedynczo, jeden za drugim. Zapelnienie w ten sposób całego „skalpu” zajmuje średnio 6 tygodni (choć u Amy Winehouse trwało to aż 10 tygodni). Koszt powstania woskowej postaci wynosi 150 tysięcy funtów.

Madame Tussaud niewątpliwie była damą o umyśle wyprzedzającym epokę, w której żyła. Przewidziała, że nadejdą czasy, gdy ludzie będą gotowi zapłacić krocie, żeby dotknąć sławnej osoby, choćby wykonanej z wosku. Co więcej, nawet teraz, w epoce pilnie strzeżonych praw do powielania wizerunku, pracownia Madame Tussaud twierdzi, że nie podpisuje z celebrytami kontraktów i nie płaci im honorariów. Gwiazdy same z przyjemnością publikują zdjęcia i opisują wrażenia z przyznań niezbędnych do wykonania ich podobizn, większość z nich przekazuje nawet na rzecz muzeum swoje prywatne ubrania.

KOMNATA HORRORU

W okresie rewolucyjnego terroru Marie Tussaud, jako nauczycielka sztuki rodziny królewskiej, została aresztowana. Ogolono jej nawet głowę przed planowaną egzekucją. Rewolucjoniści chcieli jednak zachować sobie na dłużej wizerunki skazanych, co uratowało życie Madame. Zgodziła się, w zamian za ocalenie, „udowodnić swoją wierność rewolucji” poprzez tworzenie z wosku masek straconych arystokratów, m.in. Ludwika XVI, Marii Antoniny, Madame du Barry, a w końcu i samego Robespierre’a. Można więc spekulować, że Maximilien de Robespierre, człowiek odpowiedzialny za egzekucję ponad 40 tysięcy ludzi, przyczynił się do ocalenia Madame Tussaud.

Choć praca z rozczłonkowanymi korpusami dobrze jej znanych ludzi była okrutną próbą dla kobiecej psychiki, Marie doskonale zdawała sobie sprawę, jak pociągające są woskowe wizerunki wrogów, kryminalistów, morderców... W istniejącym jeszcze przed zburzeniem Bastylli muzeum figur woskowych stworzyła nawet tzw. Osobny Pokój z rzeźbami uosabiającymi znanych francuskich kryminalistów skazanych na egzekucję, za odwiedzenie którego klienci gotowi byli uiścić dodatkową opłatę.

W londyńskim muzeum rolę Osobnego Pokoju przejęła Komnata Horroru znajdująca się w piwnicy. Oprócz odtworzonych przez Madame głów ściętych arystokratów obejrzymy tam również oryginalne rekwizyty zaczerpnięte z więzienia Newgate oraz repli-

Freddie



FOT. PAULINA KANISKA

jącym dreszczyk emocji. Ze względu na tę niecodzienną atrakcję, wizytę w komnacie odradza się małym dzieciom oraz kobietom w ciąży.

SELFIE Z IDOLEM

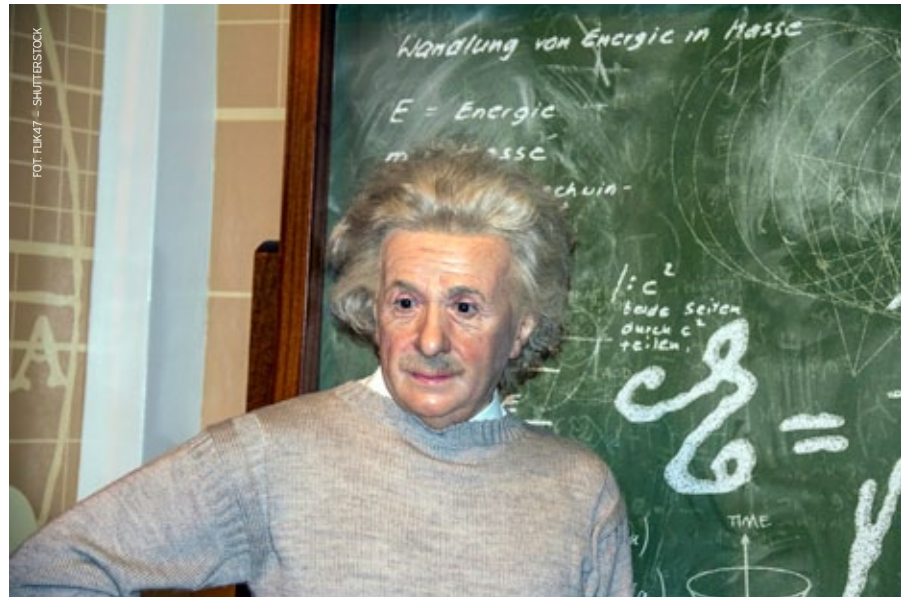
Wystawa Madame Tussaud trafiła do Londynu na początku XIX wieku. Ze względu na trwające wojny napoleońskie Madame wyjechała do Wielkiej Brytanii i przez następne lata podróżowała ze swoimi figurami po Anglii, Walii i Irlandii, aby w końcu otworzyć stałą galerię niedaleko miejsca, gdzie dziś znajduje się muzeum. Obecna siedziba musiała zmierzyć się z wieloma przeciwnościami losu. Przeszła między innymi pożar (1925 r.), trzęsienie ziemi (1931 r.) i bombardowanie (1940 r.). Nic nie było jednak w stanie zburzyć jej popularności.

Najważniejszą atrakcją muzeum jest oczywiście możliwość zrobienia sobie zdjęcia z woskowym wizerunkiem swojego idola. Gallerie podzielone są tematycznie i prezentują mistrzów sportu, muzyki, filmu, arystokrację i światowych przywódców politycznych oraz religijnych. Możemy tu zmierzyć się wzrostem

Einstein

ki narzędzi tortur używanych przed pięciuset laty. Zza krat spoglądać na nas będą zarówno historyczni, jak i współcześni zabójcy wszechczasów: od Włada III Palownika (zwanego Draculą) po amerykańskiego seryjnego mordercę Charlesa Mansona. Ze względu na szacunek dla polityki Madame Tussaud, która nalegała na jak najwierniejsze odwzorowywanie rzeźbionych w wosku postaci, wśród prezentowanych w komnacie morderców nigdy nie pokazano jednak Kuby Rozpruwacza, którego tożsamość, a więc i wizerunek, nadal pozostają w sferze domysłów.

Innowacją wprowadzoną wspólnie do Komnaty Horroru są makabrycznie ukształtowani aktorzy, którzy w blaskach stroboskopu krążą po korytarzach i wyłaniają się z nienacka, czym zapewniają zwiedza-



FOT. PUKAT - SHUTTERSTOCK

z Barackiem Obamą, przysiąc do stolika Audrey Hepburn lub pocałować jednego z wokalistów One Direction. Figurę Roberta Pattisona pracownicy muzeum czyszczą ze śladów szminek kilka razy dziennie.

Kolejka stylizowana na angielskie taksówki zabierze miłośników historii w podróż po Londynie z dawnych lat. Możemy również spotkać się twarzą w twarz z woskowymi postaciami ze świata fikcji: Shrekiem, Spidermanem, Hulkiem, Iron Manem czy Kapitanem America. Widoczna z daleka półkolistą kopułą muzeum jest obecnie wykorzystywana jako sala kinowa, w której na koniec zwiedzania gościom prezentowany jest trójwymiarowy film z bohaterami komiksu Marvela.

Ponieważ twórcy muzeum dbają, aby ich wystawa była jak najskrupulatniejszym odwzorowaniem rzeczywistości, figury najslawniejszych ludzi odnawia się co kilka lat i dostosowuje je do aktualnych zmian w wyglądzie celebryty. Woskowa podobizna znanej z operacji plastycznych piosenkarki Kylie Minogue doczekała się, na przykład, czterech poprawek, a Michaela Jacksona, z wiadomych przyczyn, aż trzynastu. Rekordzistką w tej kwestii jest figura królowej Elżbiety II, odnawiana

Shrek



FOT. PAULINA WANSKA

już ponad dwadzieścia razy. Wiele renowacji przeszła również woskowa podobizna Adolfa Hitlera. Tu jednak powodem nie była bynajmniej zmiana w wyglądzie modela, a liczne akty wandalizmu. Kto by pomyślał, że w epoce filmów 3D i wszechobecnej animacji muzeum figur woskowych może nadal wzbudzać takie zainteresowanie czy wręcz emocje.

Jedną z figur prezentowanych w Londynie niewiele odbiega od współczesnych animowanych osiągnięć. Stworzona przez Madame Tussaud podobizna kochanki Ludwika XV, nazywana powszechnie Śpiącą Królowną, ma wbudowany mechanizm, który porusza klatką piersiową figury w rytm oddechu człowieka, tworząc niesamowicie realistyczny wizerunek śpiącej kobiety.

CENA SŁAWY

Madame stworzyła jedną z najsłynniejszych marek w brytyjskiej popkulturze, wartą obecnie, bagatela, miliard funtów. Tyle zapłacił kilka lat temu za jej muzeum jeden z funduszy inwestycyjnych. Galerię odwiedza rocznie

Elżbieta i Henryk



FOT. FLAK7 - SHUTTERSTOCK

15 milionów ludzi. Muzeum, które pierwotnie było tylko obwoźną wystawą, ma swoje filie w 20 miastach na czterech kontynentach.

Londyńska siedziba Madame Tussaud ma bardzo dogodne położenie – można się do niej dostać pociągiem, autobusem lub metrem, wysiadając na stacji Baker Street. Wystawa figur woskowych czynna jest codziennie, poza pierwszym dniem świąt Bożego Narodzenia. Na jej obejrzenie trzeba poświęcić co najmniej dwie godziny. Bilety lepiej nabyć przez internet z wyprzedzeniem, ponieważ sprzedawane są wtedy ze zniżką. Jednak nawet internetowy zakup nie oszczędzi nam stania w kolejce. Ciekawą propozycją oferowaną przez obecnego właściciela muzeum, Merlin Entertainments PLC (drugiego po Disneyu światowego lidera w dziedzinie rozrywki), są ulgowe oferty łączące wejście do czterech ważniejszych londyńskich atrakcji: Madame Tussauds, London Eye, Sea Life London Aquarium i London Dungeon.

Marie Tussaud zmarła we śnie w 1850 roku, w wieku 89 lat. Ostatnią figurą wykonaną przez nią osobiście był jej autoportret, który również można podziwiać w londyńskiej siedzibie muzeum. ○

Spiderman



FOT. PAULINA KAŃSKA



Paulina Kańska

Zapalona surferka, licencjonowany nurek, mistrzyni w degustacji czekolady z całego globu. Trudna do zlokalizowania w czasie i przestrzeni: zwykle znajduje się tam, a nie tu, nie dziś, a jutro. Jej ulubionym przewodnikiem są ludzie.

Największe targi KONTRAKTACYJNE
w Europie Środkowo-Wschodniej
Międzynarodowe Targi Rowerowe

KIELCE BIKE EXPO

29.09-1.10.2016

www.bike-expo.targikielce.pl
www.facebook.com/KielceBikeExpo

Targom towarzyszą:



Mazovia MTB Marathon
Maraton Kielce Bike Expo
1 października 2016



MARATON Kielce Bike Expo
BIKE MARATON
wrzesień 2017



LOTTO POLAND
BIKE MARATHON

ORGANIZATORZY:



polskie stowarzyszenie rowerowe
organizacja polskiej branży i przemysłu rowerowego

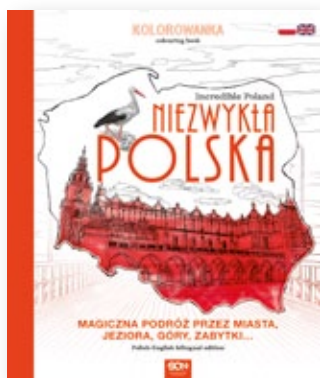
Współpraca:

Patronat medialny:



GEOSKOP

OBEJRZANE
PRZECZYTANE
ZASŁYSZANE



KOLOROWA POLSKA

Wydawnictwo SQN wydało dwujęzyczną, polsko-angielską kolorowankę po naszym pięknym kraju. Zatrzymaj się na Rynku Jeżyckim w Poznaniu, wypij kawę na krakowskim Kazimierzu, zajrzyj do malowniczego Miasta Tkaczy w Zgierzu i poznaj historię osady obronnej w Biskupinie. Wejdź na Śnieżkę, odpocznij w bieszczadzkiej Chatce Puchatka, załóż tradycyjny strój łowicki i podejrzuj żubra w Puszczy Białowieskiej. Poznaj słynny bar Sikiereza w Cisnej oraz nowoczesne Muzeum Słoiaków w Warszawie, poimprezuj na Przystanku Woodstock i zrelaksuj się na jednej z nadbałtyckich plaż. Fantastyczne miejsca czekają... pokoloruj je!

Zobaczyć Bałtyk i Afrykę... jednocześnie

12. edycję wystawy „Kuraya no Gukuhi – Daleko jest blisko” Krzysztofa Błażycy można obejrzeć w wieży bazyliki NMP w Kołobrzegu. Na tarasie widokowym podziwiać można zdjęcia z Ugandy, Tanzanii, Kenii, Nigerii i Zambii. Obok portretów ostatniej z żyjących żon wodza klanu Bakhone, kilkuletniej księżniczki z wioski Uduophori, uśmiechniętej przekupki z Mombasy oraz dr Pauli Kahumbu, która walczy o ocalenie słoni, znajdują się zdjęcia z barwnego święta w ugandyjskim Namugongo,



soczysta zieleń Rift Valley czy chłodna przestrzeń Oceanu Indyjskiego. Jest też drastyczny świat slumsów z pytaniem o przyszłość afrykańskiego dziecka szukającego szczęścia na ulicy. Wystawa to mozaika, której przesłaniem są słowa kard. Charles'a Lavigierie: „Pokochajcie Afrykę!”. Jest też promocją kampanii „Zbuduj FreeDOM” na rzecz budowy schroniska dla ofiar handlu ludźmi w Nairobi. Wystawa potrwa do końca września.

Fundacja Razem dla Afryki: www.razemdlaafryki.org
Kampania Zbuduj FreeDOM: www.zbudujfreedom.pl

ROWEREM NA DACH ŚWIATA

Agnieszka Wyszyńska-Wytrykus, Karolina Kot, Piotr Chuchmała, Maciej Szramka, Krzysztof Sobczak to zgrana grupa zapaleńców. W 2015 roku z dużym sukcesem zdobyli rowerami Kaukaz. Łączą dwie pasje: rower i podróż. To one dają im siłę do dalszej pracy. Podróżowanie rowerem, obciążonym ekwipunkiem, pozwala spojrzeć z dobrej perspektywy na świat, a także wzbudza zaufanie i ciekawość u mijanych ludzi. Rowerzyści wyruszają 23 sierpnia. Trasa będzie przebiegać przez tereny byłych republik radzieckich na odludnych terenach stepowych, gdzie latem panują potworne upały, a zimą mrozy. Droga będzie się wznosić na wysokość ponad 4500 m n.p.m., między siedmiotysięcznymi szczytami.



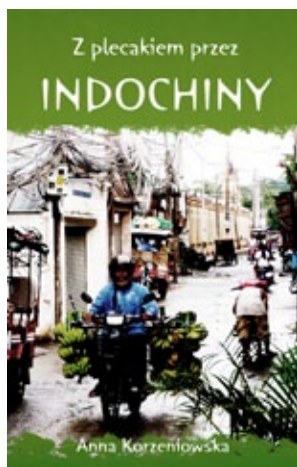
FOT. AGNIESZKA WYSZYŃSKA-WYTRYKUS

PODRÓŻ POŚLUBNA NA DWÓCH KÓŁKACH

1sierpnia Joanna Maślankowska i Adam Wnuk w ramach podróży poślubnej wyruszają na rowerową wyprawę dookoła Polski. W związku z rocznicą 1050-lecia chrztu mają zamiar przejechać blisko 3500 km wzdłuż granic z czasów Mieszka I. Planują rozpocząć wyprawę w Ostrowie Lednickim – miejscu, w którym według historyków Mieszko I przyjął chrzest. Główną noclegownią będzie namiot, a jedynym środkiem transportu – rower. Trasa poprowadzona mniej uczęszczanymi drogami pozwoli im zagłębić się w mało turystyczne miejsca. Swoimi doświadczeniami będą się dzielić na blogu podrozalternatywna.wordpress.com oraz portalach społecznościowych. Chcą również założyć kanał na YouTube, gdzie będą relacjonować swoje poczynania. Wyprawa potrwa do 20 września.



Z PLECAKIEM PRZEZ INDOCHINY



Relacja z podróży przez cztery kraje Półwyspu Indochińskiego – Tajlandię, Kambodżę, Wietnam i Laos. Jest to „wyprawa za grosze”, którą może odbyć każdy, komu tylko wystarczy samozaparcia i umiejętności logistycznych. Oprócz opisów miejsc szczególnie atrakcyjnych, pełnych zabytków i śladów dramatycznej historii XX wieku czytelnik znajdzie wiele ciekawych informacji i relacji, które mogą stanowić atrakcyjny przewodnik i zachętę (lub przestrożę) dla tych, którzy chcieliby na własną rękę odkrywać zarówno uroki, jak i niedogodności podróży po egzotycznych krajach. Książka ukaże się nakładem wydawnictwa Sorus.

Anna Korzeniowska na co dzień jest nauczycielką języka niemieckiego. Oprócz podróżowania ma na swoim koncie utwory poetyckie, które ukazały się w tomiku „Łza czysta jak sumienie”.

ŻAGLE NA MASZT!

10sierpnia o godz. 17.30 w Gdyni, w sali multimedialnej Muzeum Emigracji, odbędzie się kolejne spotkanie z cyklu „Poznaj Świat z...”. Rafał Klepacz i członkowie załogi jachtu Zjawa IV opowiedzą o trudach rocznej, etapowej wyprawy. Miała ona na celu popularyzację wybitnego osiągnięcia Władysława Wagnera, który 80 lat temu jako pierwszy Polak opłynął świat dookoła. Załoga Zjawy IV wyruszyła w sierpniu 2015 r. w rejs z portu w Gdyni przez Karaiby do Stanów Zjednoczonych, a stamtąd przez Bahamy, Bermudy i Azory powróciła do Europy.



FOT. MATERIAŁ PRASOWY MUZEUM EMIGRACJI

W ramach cyklu „Poznaj Świat z...” Muzeum Emigracji w Gdyni co miesiąc gości wyjątkowe osoby, które podczas swoich ekspedycji odwiedzały miejsca związane z polską emigracją. Można posłuchać ich opowieści zarówno o ekstremalnych nieraz aspektach egzotycznych podróży, jak i o polskich śladach i historiach związanych z naszymi rodakami, na które goście cyklu trafili w najodleglejszych zakątkach świata.



DZUNGLA W PIGUŁCE

Anna Bunikowska



Singapur jest oszałamiający. Onieśmielająco bogaty i przytłaczająco nowoczesny, w zjawiskowy sposób łączy azjatyckość z europejskością. Ład i porządek zestawione z feerią barw wielokulturowej społeczności i płataniną pnączy na dachach wieżowców. Państwo, które w 50 lat przekształciło się z portowej miejsciny na zabagnionej wyspie w nowoczesną metropolię, jest krajem ogromnych ambicji. Każda inwestycja obliczona jest na zysk. Singapore Zoo nie jest wyjątkiem. To duma miasta i jeden z najbardziej znanych ogrodów zoologicznych na świecie.



TRÓJPARK

Tutejszy ogród zoologiczny to kompleks trzech parków: oprócz najstojniejszego Singapore Zoo zwiedzający mogą wybrać się do River Safari oraz pracującego nocą Night Safari.

Rozciągający się na obszarze 28 ha ogród zoologiczny leży na obrzeżach Upper Seletar Reservoir w północnej części miasta i bardziej przypomina fragment na wpół okiełznanej dżungli niż sztandarową atrakcję turystyczną czy miejski teren zielony. Agresywna kampania reklamowa urywa się po przekroczeniu bram parku. Tu nie ma już ogromnych kolorowych plakatów, które obiecują dzikie cuda i egzotyczne przygody. Tłumy odwiedzających rozpraszają się w labiryncie ścieżek i alejek. Jest gęsto, cicho i intymnie. Zwiedzaniu zoo bliżej do spaceru przez las, gdzie co jakiś czas można natrafić na dzikie zwierzęta, niż marszu wzdłuż szpaleru płotów i klatek.

MAŁPY W PRACY

Iluzja wolności jest nadrzędną koncepcją architektoniczną zoo. Wybiegi są przestronne i naturalistyczne. Bariery subtelne, transparentne lub dobrze zamaskowane. Zamiast krat i siatek, które w nieunikniony sposób budzą skojarzenia z więzieniem, zwierzęta odseparowane są za pomocą fos, szyb, rzek czy wodospadów. Małpy żyją na gęsto zarośniętych wyspach, ptaki i drobne ssaki – w imponujących wolierach. Wisienką na torcie i dumą ogrodu jest stado wolno żyjących orangutanów, swo-

bodnie wędrujących wśród konarów drzew nad głowami zwiedzających.

Dokładniejsza obserwacja, jak i oczywista konieczność zapewnienia zwiedzającym i zwierzętom bezpieczeństwa, szybko zdradza, że i w przypadku orangutanów również nie jest to wolność nieskrępowana. Kilka metrów nad ziemią pnie dostępnych dla nich drzew są zabezpieczone w sposób dyskretny, lecz skutecznie zniechęcający przed eskapadami na ziemię. Całość sprawia jednak niezwykle wrażenie. Potężne małpy mają do dyspozycji ogromną przestrzeń wzbogaconą o liny, hamaki i platformy, gdzie mogą wędrować w poszukiwaniu jedzenia, zabawy, spokoju lub towarzystwa, jak ich dzicy krewni w lasach Sumatry czy Borneo.

Atrakcje zwiedzającym zapewnia platforma w samym centrum małpiego królestwa, a także organizowane kilka razy dziennie sesje zdjęciowe. Orangutany przyswoiły sobie koncepcję pracy i płacy. Na widok zbliżających się do punktów fotograficznych opiekunów bez marudzenia schodzą z konarów drzew po podstawionych im w tym celu drabinkach i wynagradzane kawałkami owoców, cierpliwie pozują. Singapore Zoo jest również jedynym miejscem na świecie, gdzie można zjeść śniadanie razem z orangutanami. Etykieta nie zezwala małpom na siedzenie przy stole i łamanie się chlebem, jednak posiłek

w bliskim sąsiedztwie nieoddzielonych żadnymi barierami orangutanów, zajętych własnym jedzeniem, jest niesamowitym doświadczeniem. Daje również możliwość bliższego przyjrzenia się tym charyzmatycznym małpom.

W Singapore Zoo żyją zarówno orangutany sumatrzeńskie, jak i borneańskie. Różnica między nimi bynajmniej nie kończy się na pochodzeniu. Skrajnie zagrożony gatunek z Sumatry charakteryzuje się płomiennie rudym futrem, a ich smukłe twarze w późniejszym wieku zdobi broda... bez względu na płeć. Orangutany z Borneo mają ciemnokasztanowate umaszczenie, a twarze dorosłych samców są szerokie jak radary satelitarne dzięki talerzom policzkowym.

GOLEC ATRAKCJA

W Singapore Zoo żyje ponad 2500 zwierząt z 315 gatunków. Słonie i nietoperze, żyrafy i rosomaki, niedźwiedzie polarne i wyderki orientalne, kobry, gawiale, pingwiny i kanczyle, pocieszne nosacze i przepiękne, błękitnookie białe tygrysy. Kolekcja żadną miarą nie jest jednak przypadkowa. Singapore Zoo tytułuje się często mianem „The best rainforest zoo in the world” i w tej kategorii jest bezkonkurencyjny. Jakby nie patrzeć, znajduje się w pozostałościach tropikalnego lasu deszczowego, co daje mu niewątpliwą przewagę, łatwość aranżacji i utrzymania dzunglowatego charakteru przestrzeni, a prezentowane tu zwierzęta są precyzyjnie przemyślaną kolekcją, która odzwierciedla niezwykłość mieszkańców lasów równikowych całego świata.

Próbę przedstawienia bogactwa i złożoności dżungli podejmuje Fragile Forest. Ogromna woliera, która zamyka fragment lasu pod delikatną siatką. Przez gęsty podszycie kniei płyną strumyki, na omszonych

MYSZOJELEŃ

Kanczyl malański (ang. *Java mouse-deer*) zamieszkuje lasy południowo-wschodniej Azji i jest najmniejszym zwierzęciem parzystokopytnym na świecie.



FOT. SHUTTERSTOCK



FOT. SHUTTERSTOCK

RUDY KUZYN

Orangutany sumatrzeńskie od kuzynów z Borneo odróżnia długa, prosta i ogniście ruda sierść.

ARIRANIA Z AMAZONII

Ten drapieżnik, zwany również wydrą olbrzymią, występuje u wybrzeża rzek Amazonii.



FOT. ANNA BUNIKOWSKA



FOT. SHUTTERSTOCK

KAI KAI CZY JIA JIA?

Dwie pandy wielkie o takich imionach zamieszkują klimatyzowany pawilon w parku River Safari.

NOSACZ

Stada skrajnie zagrożonych wyginięciem małp z azjatyckich lasów mangrowych są wielką dumą tutejszego zoo.



FOT. ANNA BUNIKOWSKA



TROPIKI ZAMIAST ARKTYKI

Inuka ma 25 lat i jest pierwszym w historii niedźwiedziem polarnym, który przyszedł na świat w tropikach.

kamieniach wylegają się żółwie. Wyssoko w koronach drzew wyłócają się nietoperze owocowe. Na tarasie widokowym przesiadają lemury katta. W powietrzu szybują ciężkie tropikalne motyle, fruują papugi. Grają cykady. Gęsta roślinność jest mokra od rosy. Gdzieś w gęstwinie krzewów spacerują koronice i kanczyle, kryją się śpiewające nieśmiało ptaki, a niemożność ich wypatrzenia budzi tę samą ciekawość i niecierpliwość, co spacer z lornetką po lesie. Trzeba się postarać, żeby wszystko wypatrzyć. Nie każda ekspozycja jest oczywiście na-

cieszny brykający przychówek), strusiami, nialami, gepardami i golcami.

Co w tym pięknym i majestatycznym towarzystwie robią golce – prawdopodobnie jedno z najbardziej nieekspozycyjnych zwierząt na świecie? Stanowią atrakcję. Specyficzną, jednak bezdyskusyjnie interesującą. Golce to wybitnie szpetne gryzonie z rodziny o sugestywnej nazwie – kretoszczurów, spędzające całe swoje życie pod ziemią. Żyją w koloniach zorganizowanych nieco na podobieństwo termitów czy mrówek. Tu labirynt ich korytarzy przecięty jest szybą i choć zwiedzający mogą obserwować jedynie ułamek ich sal, komór i korytarzy, wciąż jest to niezwykła możliwość poznania tych specyficznych zwierząt o odrażającej fizjonomii. Kto to widział białego, łysego, ślepego, pomarszczonego kretoszczura z wargami zamykającymi się za krzywymi, monstrualnymi siekaczami?



RYBY W LESIE

Amazon Flooded Forest jest spektakularnym akwariem na terenie River Safari Park. W ogromnym zbiorniku można podziwiać rzeczne olbrzymy – manaty, arapaimy czy pirapitingi.

miastką eskapady przez dżunglę, tak jak nie każdy zwiedzający jest koneserem naczelnych, i choć maleńkie pigmejki, prześlizgające duki czy karykaturalne nosacze są niewątpliwą atrakcją, chyba żadne zoo nie może się obejść bez słonia, lwa, zebry i żyrafy. Singapore Zoo w swojej afrykańskiej kolekcji może się również pochwalić stadem nosorożców białych (regularnie powiększanym przez kolejny po-



BLOND KOCIAK

Białe tygrysy nie są odrębnym gatunkiem, lecz wariantem kolorystycznym spotykanym wśród tygrysów bengalskich i syberyjskich.

POLARNY W TROPIKU

Inuka może śmiało startować w konkursie na największą gwiazdę zoo. Kto może być bardziej egzotyczny niż niedźwiedź polarny na równiku, 600-kilogramowy drapieżnik lekko i wdzięcznie nurkujący w ogromnym, przesklonym basenie? Inuka mieszka w pawilonie

Frozen Tundra, po sąsiedzku z rosomakami i jenotami japońskimi. Urodził się w Singapurze i jest pierwszym w historii niedźwiedziem polarnym, który przyszedł na świat w tropikach. 16 grudnia zeszłego roku świętował swoje 25. urodziny, pożerając potężny lodowo-owocowy tort. Z tej okazji w zoo otworzono również wystawę fotograficzną „Our Arctic Future”, przedstawiającą, jak globalne ocieplenie wpływa na ekosystem bieguna północnego. Stara się ona przekonać zwiedzających, że nawet drobne zmiany w ich codziennym zachowaniu mogą mieć wpływ na przyszłość dzikiej przyrody, w tym los niedźwiedzi polarnych.

W Singapore Zoo każda okazja jest wykorzystywana do nauki. Codzienne pokazy karmienia są nie tylko wdzięcznym show, ale i wartościowym wykładem na temat zwyczajów obserwowanych zwierząt. Urodziny niedźwiedzia polarnego to pretekst do eduka-

cji na temat globalnego ocieplenia, przepiękny wybieg tygrysów jest otoczony ilustrowaną historią ich wymierania, tablice w Reptile Garden na każdym kroku przypominają, że choć gady w elegancko zaaranżowanych terrariach wyglądają wspaniale, nie są odpowiednimi zwierzętami domowymi, a już na pewno nie powinny być kupowane z nielegalnych źródeł.

Zoo uczy lekko, zabawnie, nienachalnie, ale skutecznie. Ogród jest zaangażowany w ochronę zwierząt *in situ* i *ex situ*. Odnosi sukcesy w rozmnażaniu tak rzadkich i wymagających gatunków jak niedźwiedzie polarne czy nosacze. Jest sztandarową atrakcją turystyczną miasta i potężnym biznesem, jednak w niustannym szumie komercji, krzykach i stosach infantylnych pamiątek myśl przewodnia ogrodu jest bardzo czytelna i wyraźna. „Patrz, baw się, podziwiaj. Świat zwierząt jest wspaniały. Przemija”. To, co cię tu zachwyca, ginie wy-

BLISKIE SPOTKANIE Z KRÓLEM JULIANEM

Lemury katta (osławione dzięki kreskówce o Madagaskarze) są niezwykle przyjacielskie.



FIREFOX

Panda mała w potocznym języku chińskim zwana jest ognistym lisem.



karczowane, spalone, zaorane, zabite dla skór, rogów, kości, sportu czy zabawy, wykończone postępującą utratą środowiska. Jeszcze nie jest za późno. Jeszcze możesz wszystko zmienić.

Singapore Zoo co roku odwiedza 1,7 mln ludzi. Ilu z nich wynosi z tej wycieczki nieco więcej niż garść zdjęć i pluszaka na pamiątkę? ○

Anna Bunikowska

Lekarz weterynarii próbująca realizować swoje dwa największe marzenia – pracę z dzikimi zwierzętami i podróżę. Jako weterynarz pracowała w Polsce, Tajlandii, Indonezji i Australii. Gdy nie podróżuje i nie pracuje – tańczy tango.



DUŻY W PODRÓŻY



FOT. MAGDALENA ŻELAZOWSKA

Księgarnie trzeszczą w szwach od wszelkiej maści poradników: jak podróżować z dziećmi, ze zwierzętami, w pojedynkę lub bez grosza. Jest jednak pewna grupa, o której nikt nie pomyślał.

Mam 180 cm wzrostu. Mój mąż – blisko dwa metry. Oboje nie możemy wyjść ze zdumienia, że od czasów powieści Johnatana Swifta, opisującej przygodę Guliwera w Krainie Liliputów, nikt nie wpadł na pomysł publikacji zdradzającej cienie i blaski podróżowania przy ponadprzeciętnie wysokim wzroście. Cóż, tych pierwszych jest jakby więcej.

Zaczyna się już w dniu wyjazdu. Plecak na przykrótkich ramiączkach uwiera w kręgosłup, a rączki od walizki trzeba szukać gdzieś w okolicy kolan. Zajęcie

miejsca w autobusie lub samolocie przypomina gimnastykę artystyczną, nie wspominając o wytrwaniu w przyjętej pozycji przez kilka czy kilkanaście godzin. Splątane w supeł stopy puchną jak balony, rozkładany stolik boleśnie wbija się w uda, a próba rozłożenia fotela, by ulżyć sobie w cierpieniu, wzbudza falę nerwowych posykiwań z tylnego rzędu. Niewiele pomogą nawet miejsca leżące. W kuszetkach lub rosyjskich wagonach typu placarta wysocy też raczej nie zmrużą oka: co chwila ktoś będzie ich budził, potrącając wystające na korytarz nogi. Gdy podróżowałam po Wietnamie, ucieszyłam się na widok nocnych autobusów z zamontowanymi w środku łózkami. Moja radość była jednak przedwczesna: mąż mieścił się tylko na posłaniu pozbawionym zagłówka i wypadał na każdym wyboju czy zakręcie.

Można się przemęczyć, byle dojechać? Niestety, na miejscu wcale nie jest lepiej. Kiedy zdrożeni dopadamy noclegu, łóżko często okazuje się za krótkie. Gdy chcemy rozprostować kości w namiocie, musimy układać się po przekątnej. Kołdra stawia ultimatum: ciepłe stopy lub tors, a śpiwór kończy

się nieznacznie powyżej pasa. Zatem nie spać, zwiedzać. Tylko jak? Odpada wynajęcie najtańszego, czyli najmniejszego modelu samochodu, bo trzeba by kierować z tylnego fotela. Przejazdźka rikszą czy skuterem przypomina wyczyny mistrzów jogi, zaś standardowy kask z wypożyczalni przysiadła na czubku głowy jak garnek i nie daje się wsunąć głębiej. Trudności nastręcza nawet poruszanie się konno: podczas rajdu w Mongolii, gdy dosiadałam tamtejszych lilipucich koników, szorowałam stopami po ziemi.

Zostaje więc przemieszczanie się pieszo. A tu już czyha kolejna partia pułapek. Zaczynając od tych niewinnych, jak zbieranie włosami pajęczyn spod sufitów czy nagminne uderzanie czołem w gałęzie, sklepienia i framugi, po te groźące trwałym uszczerbkiem na zdrowiu, jak kontakt z nisko zawieszonym wentylatorem lub parasolkami przechodniów niezapowiedziane otwierającymi się na wysokości oczu. W razie nadciągającego zagrożenia ze strony rabusiów lub dzięki zwierzynie przy wysokim wzroście odpadają opcje „przemknąć niezauważenie” lub „zgubić się w tłumie”. Możemy też zapomnieć

o dyskretnym pstrykaniu zdjęć, kiedy dzieje się coś ciekawego.

Inną kategorię stanowią niedogodności wodno-sanitarne. Kiedy jesteśmy wysocy, głębokość basenów dostępnych dla turystów często pozostawia wiele do życzenia, plasując je bliżej dziecięcych brodzików. Na żaglówce najpewniej oberwiemy bomem, nawet gdy się schylimy. Jeśli podczas zwiedzania chcemy się schłodzić źródlaną wodą z kraników, musimy przyjąć pozycję zbliżoną do żyraby pokracznie pochylającej się nad rzeką. Po całodziennych trudach podróży możemy zapomnieć o relaksie w hotelowej wannie – większość przeciętnych modeli jest za krótka, żeby zanurzyć w nich całe ciało, a w skrajnych przypadkach siadając w środku, możemy sobie kolanami umyć uszy. Niewiele lepiej jest pod prysznicem, który potrafi sięgać podbródka, podczas gdy zasłonka wisi na wysokości mostka. Problem z zachowaniem prywatności zdarza się też w publicznych toaletach, szczególnie tych z drzwiami typu „saloon na Dzikim Zachodzie”. Odwrotnie jest za to z lustrami: zawieszane za nisko udaremniają golenie, makijaż czy zwykłe spojrzenie sobie w twarz.

Kłopotliwe bywają nawet zakupy. Schody (w dół) zaczynają się od próby wyciągnięcia gotówki z bankomatów, dostosowanych do osób średniego wzrostu. Raz – trzeba się schylić, dwa – nic nie widać na ekranie. Możemy też zapomnieć o odzieżowym shoppingu. Szałowe szpilki z zasady nie mają sensu. Ubrania *uni-size*, czyli dla każdego, dla wysokich są do niczego. Pamiątkowe etniczne stroje sięgają łokci i kolan, a ciekawe regionalne czapki można przeznaczyć najwyżej na napastrzek. Jeśli w Azji rozpadną nam się buty, jesteśmy straceni – chyba że zadowolimy się japonkami zakrywającymi połowę stopy. Niewiele lepiej jest w sektorze usług. We wschodnich knajpkach kolana nie mieszczą się pod blatem stołów, a łóżka do masażu kończą się wcześniej niż nasze kończyny. Z listy innych atrakcji dla własnego dobra lepiej wykreślić huśtanie się na huśtawkach, jazdę na rollercoasterach, eksplorowanie jaskiń oraz zwiedzanie podziemi.

Wreszcie: kontakty towarzyskie. Kompani podróży nagminnie wykorzystują wysokich do ochrony przed słońcem i wiatrem lub jako zamiennik parasola podnoszonego przez pilota



R E K L A M A

wycieczek, żeby nikt się nie zgubił. Niestety, nikt nie okazuje wdzięczności. Na wysokich narzeka się w kinach, teatrach i na koncertach. Wysokich ustawia się z tyłu zdjęć, a i tak przeważnie ucina im się głowy. Wysokim każe się sięgać po trudno dostępne rzeczy, nielegalnie zrywać owoce z drzew i wrzucać bagaże na najwyższe półki. Wysoki zawsze jest w centrum uwagi, nawet jeśli jest chorobliwie nieśmiały i wolałby pozostać niewidzialny. Przyjacielskie przytulenie z wysokim wypada dziwnie i niezręcznie. A jeśli jesteś wysoką kobietą, wakacyjny romans zakrawa na groteskę. Bo ktoś chciałby brać ukochanego pod pachę, zamiast tonąć w jego ramionach?

Że to wszystko przesada? Że wzrost ma tyle wad, ile zalet? Że wyższym nikt nie podskoczy, nikt nie zasłania i w razie potrzeby szybciej mogą dać nogę? Cóż, zdecydujcie sami, czy lepiej oglądać świat z wysoka. A teraz zła wiadomość: na razie nikt nie ma w tej kwestii wyboru. ◯

Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka.

Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachłanni” i „Hotel Bankrut”.

Prowadzi blog podróżniczy

www.zgubsietam.pl

PIĄTA ALEJA

Słynna ulica Mariacka w Gdańsku zaliczana do tzw. Bursztynowej Piątej Alei. To tu znajduje się najwięcej w Polsce sklepów jubilerskich oraz warsztatów bursztyniarzy.

PO ZŁOTO PÓŁNOCY!

Anita
Demianowicz

Spośród wielu szlaków handlowych najbardziej znanym w świecie jest zapewne jedwabny szlak, łączący Chiny z Europą i Bliskim Wschodem. Dla nas najbliższy jest jednak o wiele starszy szlak bursztynowy, który miał ogromne znaczenie dla naszej części Starego Kontynentu, w tym dla Pomorza.



Bursztynowy szlak działał już przed narodzeniem Chrystusa. Przebiegał od Akwilei na terenie dzisiejszych Włoch, przez kraje basenu Morza Śródziemnego, łącząc je siecią dróg często trudnych do przebycia z wybrzeżem Morza Bałtyckiego. Była to pełna niebezpieczeństw trasa, która jednak nie zrażała ani Rzymian, ani wcześniej Greków podążających w poszukiwaniu złota Północy.

Ślady wskazują, że dochodził on do Gdańska, a jak zaznacza gdański bursztyniarz Zbigniew Strzelczyk, należy pamiętać, że ten szlak prowadził wieloma drogami. – *My, mówiąc dziś o szlaku bursztynowym, chcielibyśmy wytyczyć drogę przy pomocy śladów po faktoriach, ale tego nie da się zrobić. Na szlak bursztynowy składało się wiele dróg, choć bez wątpienia trasa prowadząca przez Pruszcz Gdański i Gdańsk była jedną z ważniejszych.*

NA RZYMSKIEJ FAKTORII

Rzymianie wędrujący w kierunku Gdańska budowali faktorie, które były miejscami handlowych spotkań. Tutaj także odpoczywali, przechowywali konie, naprawiali uprzęże. Na wzór faktorii handlowych budowanych przez Rzymian stworzono współcześnie taką w Pruszczu Gdańskim, która stanowi dziś centrum kulturalne, wystawiennicze i edukacyjne. To jedna z głównych atrakcji turystycznych Pruszcza.



OBCY Z GDAŃSKA

Rzeźba „Obcy” ze zbiorów gdańskiego Muzeum Bursztynu.

Deszcz zacina dość mocno, więc najpierw, chowając się przed nim, zaglądam do Chaty Wodza, która pełni funkcję muzeum. Znajdują się tu eksponaty pochodzące z Muzeum Archeologicznego i Muzeum Bursztynu w Gdańsku, które tworzą wystawę pod tytułem „Magia Bursztynowego Szlaku – Skarby z Pruszcza Gdańskiego”. Eksponaty mają świadczyć, że tędy wędrowano z bursztynem.



SKARBY NA PLAŻY

W Jantarze co roku odbywają się Międzynarodowe Mistrzostwa w Poławianiu Bursztynu. Najlepiej przyjechać tu po sztormie, wówczas jest szansa na znalezienie pięknych okazów.

Można zobaczyć fibule, czyli zapinki spinające damską odzież, złote wisiorki, bransolety; są też oryginalne i pięknie zachowane kolie, okucia pasa oraz naczynia i narzędzia codziennego użytku, które znaleziono w grobach szkieletowych. Jest też i szkielet jednej z ich właścicielek. – *Dawniej wierzono, że umieszczenie tych sprzętów wraz ze zmarłym przyniesie mu szczęście* – mówi Mariola Rychter, pracownica Faktorii Handlowej. Tłumaczy, skąd w Pruszczu Gdańskim wziął się bursztyn: – *Dwa tysiące lat temu teren ten leżał nad płytkim jeziorem lagunowym połączonym z Morzem Bałtyckim...*

W faktorii odnajdują również zrekonstruowane chatki bursztyniarza i kowala, w których prezentowane jest życie pierwszych mieszkańców tego miejsca, oraz rekonstrukcję wozu, jakiego używali kupcy rzymscy do transportu bursztynu bałtyckiego.

Później przenoszą się do tętniącego życiem warsztatu bursztyniarza. W pomieszczeniu czuć specyficzny zapach żywicy i pasty do polerowania. Podobnie pachniało u mojego Taty w warsztacie... Na każdym wolnym skrawku leżą bursztyny w różnych kolorach

i kształtach: białe i nieprzezroczyste, złociste z inkluzjami w środku, w kształcie sopli i serc, wielkie bryły i drobiniki niczym ziarnka piasku z nadmorskiej plaży.

Znajduję się w warsztacie Zbigniewa Strzelczyka. Jego pracownia i sklep mieszczą się na słynnej Bursztynowej Piątej Alei, jak nazywa się ulicę Mariacką, Długi Targ i Długie Pobrzeże w Gdańsku. W dziesiątkach galerii i pracowni, gdzie można nawet wziąć udział w warsztatach szlifierskich i krótkim kursie odróżniania oryginału od falsyfikatu, wre praca. Można tu poznać historię zaklętą w bursztynie i zrozumieć, dlaczego Rzymianie, dla których wyprawa nad Bałtyk wiązała się często z półroczną podróżą w jedną stronę, podejmowali taki trud.

– *Bursztyn ma wspaniałe cechy fizykochemiczne. Przypisuje mu się walory lecznicze, bo zawiera kwas bursztynowy.* – Pan Zbigniew podstawił mi pod nos buteleczkę z nalewką bursztynową, a po pomieszczeniu rozchodzi się specyficzny żywiczny zapach. – *To jest właśnie zapach tego kwasu. Spirytus, którym zalewa się bursztyn, nie rozpuszcza go, natomiast rozpuszcza kwas i olejki eteryczne.*



NA ZDROWIE

Nieoszlifowane jeszcze brytki czekają na swoją kolej, by z czasem zamienić się w ozdobną biżuterię. Warto je nosić przy sobie, bo ich właściwości fizykochemiczne mogą podobno działać dużo dobrze.



FOT. ANITA DEJANOWICZ

Dostają do rąk kawałek bursztynu oraz instrukcję, by potrzeć nim o sweter. – *Pocierany o wełnę przyciąga nie tylko papierki, ale również słomę, a nawet wiórki drewna. Oddziałuje elektrostatycznie, a dzisiejsza nazwa „elektryczność” pochodzi od greckiego słowa elektron oznaczającego właśnie bursztyn.* – Pan Zbigniew przekonuje, choć przyznaje, że nie istnieją żadne badania naukowe, które by to potwierdzały, że ta żywica noszona przez ludzi działa leczniczo właśnie poprzez elektrostatykę. – *Spotkałem się wielokrotnie z wyleczeniem osób z rodziny i to nie były żadne cuda, lecz właściwości lecznicze bursztynu. Na problemy z tarczycą, górnymi drogami oddechowymi, reumatyzmem...*

Zbigniew Strzelczyk o bursztynie wie prawie wszystko. Nic dziwnego, skoro w zawodzie pracuje od 43 lat. Opowiada o gospodarstwach domowych wokół Gdańska, których właściciele dorzucali drobnego bursztynu do palenisk i ognisk, by dzięki jego większej kaloryczności wytworzyć więcej ciepła. Opowiada o obecności bursztynu w Watykanie podczas konklawe – kiedy w Kaplicy Sykstyńskiej kolejne głosowanie nie wybiera papieża. Wtedy właśnie mistrz ceremonii wrzuca do pieca kar-

ty do głosowania i szufelką dodaje 2–3 porcje bursztynu, a nad kaplicą pojawia się słynny czarny dym.

ŻYCIE ZAKŁĘTE W ŻYWICY

Najbardziej zaskakuje, jak wiele w bursztynie można zawrzeć i jak wiele z niego wyczytać. Tkwi w nim historia sięgająca milionów lat. Mam takie wspomnienie z dzieciństwa, kiedy trzymam w palcach wisiołek babci. W wisiorku jest mrówka. Przyglądam się jej z zaciekawieniem. Wtedy nie rozumiałam, że to inkluzja i że ta mrówka mogła się urodzić miliony lat temu.

Zakłęte w bursztynie życie – drobne owoady, rośliny, pyłki kwiatów – zostało zdeponowane w bursztynowej trumnie. Można je obejrzeć w Muzeum Inkluzji na Wydziale Biologii Uniwersytetu Gdańskiego. Wystawa składa się z 5 500 bryłek z 13 tysiącami inkluzji zwierzęcych i jest drugim co do wielkości zbiorem inkluzji w Polsce. W mniejszej ilości znajdziemy je też w Muzeum Bursztynu w Gdańsku. Zobaczymy tu zatopione w żywicy drewnienka, pająki, liście, szpilki sosny, szyszki, larwy,

PIERWSZY SZLIF

Pan Zbigniew Strzelczyk w trakcie pracy. Poleruje bursztyn, by nadać mu odpowiedni połysk.



FOT. ANITA DERMANOWICZ

BURSZTYNOWY SŁOWIK

Główna nagroda Festiwalu Piosenki w Sopocie. Statuetkę wykonał sopocki artysta złotnik Bogdan Mirowski.

karaczany, a nawet inkluzję „Jaszczurki Gierłowskiej”, której okaz datowany jest na ponad 40 milionów lat.

Wspinam się kamiennymi schodami Muzeum Bursztynu i zaglądam do Wieży Więziennej oraz innych pomieszczeń, w których umieszczone zostały bogate zbiory. Przyglądam się nie tylko inkluzjom, lecz także licznym dziełom sztuki, w tym najcenniejszemu eksponatowi, jakim jest kabinet z 1724 roku.

BURSZTYNOWE WYKOPKI

Nie ma ludzi. Jest cicho. Nie słychać rozmów i śmiechów, które wydają się nieodłącznym elementem plażowego krajobrazu. Ale w przestrzeni natury panuje gwar. Wiatr szaleje na wydmach i szeleści żdźbłami traw, mewy krzyczą, próbując przebić się przez huk fal uderzających z łoskotem o brzeg. Żałuję, że nie ma sztormu. Nucąc piosenkę Ireny Santor „Już nie ma dzikich plaż, na których zbierałam bursztynu...”, przeczesuję jedną z najpopularniejszych bursztynowych plaż w Jantarze.

Przy brzegu leżą wodorosty. Pomiędzy zielonymi witkami spoczywają muszelki, żdźbła traw, wygładzone wodą drewnienka, z których rękodzielnicy przygotowują często biżuterię na gdański Jarmark Dominikański. Od czasu do czasu trafiam na kapselek lub plastikową

nakrętkę po coca-coli. Po bursztynie jednak nie ma śladu, a to po niego przecież przyjechałam do Jantaru, bo – zgodnie ze słowami dyrektora Pomorskiej Organizacji Turystycznej Łukasza Magriana – właśnie na Mierzei Wiślanej, u ujścia Wisły, jest go najwięcej. Nie bez powodu w Jantarze odbywają się coroczne Międzynarodowe Mistrzostwa w Poławianiu Bursztynu, do których eliminacje przeprowadzane są na wielu polskich plażach leżących przy trasie bursztynowego szlaku.

Pozyskiwano go nie tylko poprzez zbieranie na plaży, lecz także przez wydobycie w kopalniach. – *Znajduje się go zarówno w Bałtyku, jak i dalej od niego, bo trzeba pamiętać, że nasze morze ma dopiero dwadzieścia tysięcy lat, podczas gdy o tutejszym bursztynie mówi się, że ma nie mniej niż 45 milionów lat* – opowiada Piotr Kamiński, Inżynier Nadzoru Nadleśnictwa Kolbudy. Na jego terenie znajduje się jedna z wielu na Pomorzu kopalni bursztynu – to „Bursztynowa Góra” w Bąkowie. „Bursztynowa Góra” znajduje się w pięknym sosnowym lesie i choć ślad po niej pozostał jedynie w postaci lejów – jednego dużego o średnicy 40 m i kilku mniejszych – to w sezonie parking przy tym rezerwacie jest zawsze zapełniony.

Pan Zbigniew ma dwa kawałki bursztynu, które pochodzą z kopalni żwiru i piasku w Kościerzynie, ok. 70 km od brzegu Bałtyku, gdzie zostały znalezione na głębokości 25–30 m. Im dalej od Morza Bałtyckiego,



FOT. ARCHIWUM PAW. DUBI

RZYMIANIE W PRUSZCZU

Faktoria w Pruszczu Gdańskim wzorowana jest na tych rzymskich z bursztynowego szlaku. Można tu znaleźć Chatę Wodza, w której znajduje się muzeum, a także chatki bursztyniarza i kowala. Z prawej wejście do Faktorii, w której w sezonie wiele się dzieje. Kalendarz jest zapełniony imprezami i warsztatami: dawnych rzemiosł, tworzenia biżuterii, a nawet „Starożytną szkołą przetrwania”.

tym głębiej trzeba było szukać. O kopalni w Możdżanowie koło Słupska, która była czynna jeszcze po II wojnie światowej, prasa rozpisywała się, szacując, że pod grubą warstwą piachu i gliny znajduje się 700 ton bursztynu. Zbigniew Strzelczyk mówi jed-



ŹRÓDŁO: WWW.SLUPCZESKIE.PL, MICHAŁ SŁUPCZEŃSKI

nak, że to bujda: – *Badania, w których uczestniczyłem 40 lat temu, dowodzą, że jest tam około 5 ton bursztynu. Koszty jego wydobywania byłyby jednak zbyt wysokie.*

AMBER ONE

Bursztyn jest coraz droższy i coraz bardziej pożądanym. Obecnie Gdańsk promuje się jako jego stolica – nie tylko na Mariackiej, Długim Targu i Długim Pobrzeżu, nie tylko w muzeach, lecz także w wielu ośrodkach SPA, w których wykorzystuje

się bursztyn do zabiegów, czy w restauracyjnych menu, do których stworzenia jest inspiracją. Gdańsk ma też swój wielki „bursztyn” w postaci stadionu Energa Arena, pobudowanego na Euro 2012, który nocą rozświetla się na złoto. Nawet biegnąca stąd autostrada A1 nosi oficjalną nazwę Amber One...

Oprócz Gdańska, miasteczek na Mierzei Wiślanej, Pruszcza Gdańskiego, Gdyni czy Sopotu na mapie bursztynowego szlaku widnieje również Malbork i Zamek Krzyżacki, w którego murach mieści się największa w Polsce kolekcja naturalnych bursztynowych brył, a także jedna z najznakomitszych kolekcji bursztynu na świecie. Jest też Słupsk z bursztynowym niedźwiadkiem, figurką, którą wykopano w 1887 r. na terenie miasta, oraz wieś Niedźwiedziówka na trasie z Gdańska do Elbląga, będąca najstarszym ośrodkiem obróbki tego surowca. To tu znaleziono ślady po około dziewięciuset stanowiskach pracy dawnych bursztyniarzy.

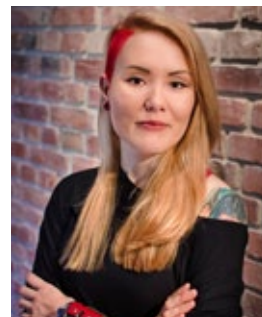
Na jedwabnym szlaku można było ponoć wypić i tysiąc szklanek herbaty. Na bursztynowym – można i dziś spróbować bursztynowej nalewki lub zabawić się w poławiacza; można nauczyć się szlifowania oraz nacieszyć oczy najpiękniejszą biżuterią z bałtyckiego złota. Można wreszcie poznać historię północnej przyrody, zaklętą w niezwyklej żywicy sprzed milionów lat. ○

AMULET ŁOWCY

Bursztynowy niedźwiadek był prawdopodobnie amuletem łowcy tych zwierząt. Figurka, mająca 10,2 cm długości, 3,5 cm szerokości i 4,2 cm wysokości, została znaleziona w 1887 roku podczas kopania torfu w okolicach Słupska.

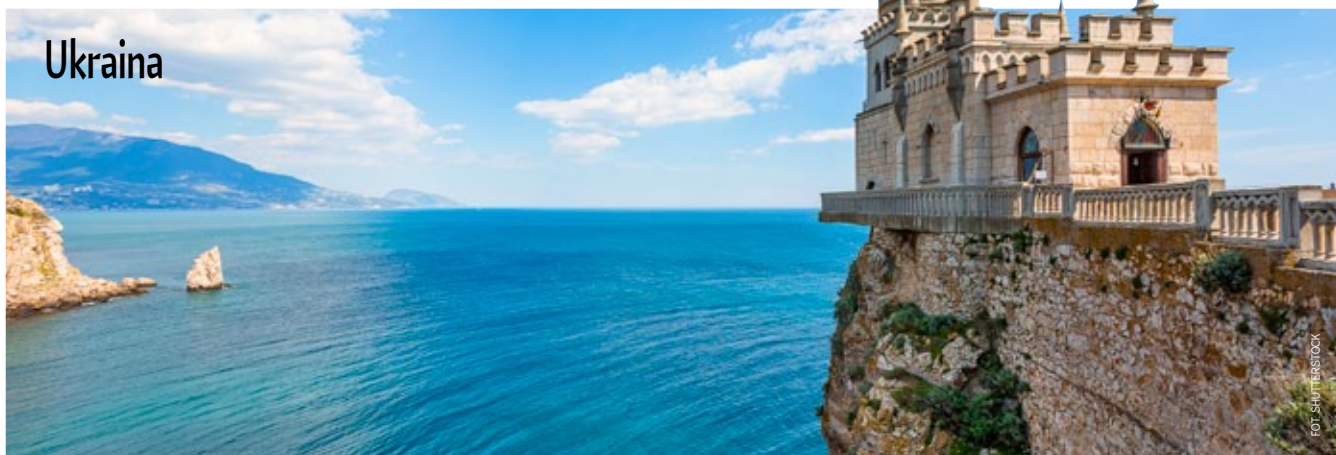


FOT. ANITA DEMIANOWICZ



Anita Demianowicz

Podróżniczka, blogerka, pomysłodawczyni i organizatorka Spotkań Podróżujących Kobiet – Trampki. Jej ulubionym kierunkiem jest Ameryka Środkowa.
www.banita.travel.pl



NAVIGATOR

Nasze rekomendacje na krótkie wypady





Rumunia Băile Herculane



44°52'N 22°25'E

Uzdrowisko znajduje się 188 km na południowy wschód od Timisoary.

HERCULANE OD DAWNA ZNANE

Băile Herculane leży w Karpatach Południowych, w południowo-zachodniej części Rumunii. Nazwa miejscowości wiąże się z legendą o Herkulesie, który miał przybyć do

Băile, żeby zażyć przywracającej siłę kąpeli. Uzdrowisko słynie z 16 gorących źródeł leczniczych, z których korzystali już starożytni Rzymianie. W XIX wieku wybudowano tam kompleks budynków hotelowych na zlecenie Habsburgów. Za ich sprawą miejsce to stało się modne wśród arystokracji i mogło poszczycić się mianem najpiękniejszego uzdrowiska ówczesnej Europy. Sława Băile przogasła po II wojnie światowej. Panujący w tamtym czasie dyktatorzy nie przywiązywali wagi do zachowania dziedzictwa kulturowego tego miejsca. Kompleks popadł w ruinę, a jego renowacja wymaga dużych nakładów finansowych. Turystów przyciąga dziś unikatowy charakter i bogata historia Băile Herculane.

Polska Zamek w Łapalicach

CMENTARZYSKO MARZEŃ

Na terenie Kaszubskiego Parku Krajobrazowego, na skraju wioski Łapalice, ponad drzewami górują zamkowe wieże. Z daleka przyciągają do najnowszego zamku w Europie. Inicjatorem jego budowy jest gdański artysta Piotr Kazimierczak. Początkowo na działce miała powstać niewielka pracownia. Z czasem budowla rozrosła się do wielkości 5 000 m²: kolumny, sala balowa, fontanna, kryty basen, kręte schody, bogato zdobione rzeźby, brama wjazdowa. Projekt, który nawiązywał do najpiękniejszych pałaców świata, miał być spełnieniem marzeń artysty. Niestety, jego wizja nigdy nie została zrealizowana ze względu na problemy finansowe i prawne. Prace wstrzymano. Pomimo stanu surowego zjeżdżają tam turyści z całej Polski. Jest to również sceneria wykorzystywana podczas sesji fotograficznych.



54°20'N 18°07'E

Łapalice leżą 40 km na zachód od Gdańska.



PRZYBYTEK WOLNEJ MIŁOŚCI

Na szczycie malowniczego klifu Aurory nad Morzem Czarnym w 1911 roku zbudowano neogotycki zameczek, który stanął w miejscu dawnego drewnianego domu schadzek. Zamek Miłości z czasem zmienił nazwę na Jaskółcze Gniazdo i stał się najdroższą restauracją na Krymie.

Położenie, zapach morskiej bryzy i piękne widoki przez lata przyciągały turystów, aż do czasu silnego trzęsienia ziemi. Ze względu na zagrożenie zawalenia się budowli zamek zamknięto dla zwiedzających na 40 lat. Podziwianie obiektu było możliwe jedynie ze statków opływających klif. Obecnie romantyczny zameczek o wymiarach 10 × 20 m kusci nie tylko wyglądem, ale i smaczną kuchnią serwowaną we włoskiej restauracji. Ciekawostką jest, że Jaskółcze Gniazdo pojawiło się w ekranizacji „Podróży Pana Kleksa”.



44°26'N 34°06'E

Zamek znajduje się na południowym wybrzeżu Krymu, 20 km na południowy wschód od centrum Jałty.



FOT. SHUTTERSTOCK

28°51'N 13°48'W



Na Lanzarote można dotrzeć samolotem z Polski z przesiadką w Barcelonie.

museo atlántico

Lanzarote Muzeum Atlantyku

Podwodna galeria

Wpołudniowej części Lanzarote przy Playa Blanca znajduje się nietypowe Muzeum Atlantyku. Jest to pierwsze muzeum w Europie, które wymaga od zwiedzających stroju pletwonurka. Podwodna wystawa u brzegów Lanzarote urozmaica dno Atlantyku. Muzeum powstało z inicjatywy brytyjskiego artysty, którego celem było odtworzenie zanikającej rafy koralowej. Jest to kolejny tego typu projekt Jasona de Caires Taylora. Pierwsze takie muzeum na świecie powstało w meksykańskim Cancún. Rzeźby znajdujące się w Muzeum Atlantyku uwieczniają mieszkańców i ich wyspiarskie życie. Wystawa wykonana jest ze specjalnego materiału, który nie zanieczyszcza wody, ale ułatwia osadzanie się glonów, muszli i koralowców. Szacuje się, że rzeźby przetrwają 300 lat. By obejrzeć wystawę, nie trzeba być świetnym nurkiem. Dla mniej doświadczonych dostępna jest łódź ze szklanym dnem.



FOT. JASON DECAIRES TAYLOR AND CACT LANZAROTE

FOT. JASON DECAIRES TAYLOR AND CACT LANZAROTE



FOT. STAROSTWO POWIATOWE W LUBLINIE



SPŁYW KAJAKOWY BYSTRZYCA

Przez Lubelszczyznę przepływa kilka rzek idealnie nadających się do spływów kajakowych: Tanew, Bug oraz Bystrzyca. My proponujemy wybrać się na cały dzień na tę ostatnią. Rzeka ma dość spokojny i łagodny, urozmaicony meandrami bieg. Będzie nas czekać 18 kilometrów i sześć godzin wiosłowania.

Startujemy w Strzyżewicach. Wcześniej warto spacerować się po tej wsi o zamierzchłym średniowiecznym rodowodzie. Jej najważniejszym zabytkiem jest dwór rodziny Kołacz-

cza i Słowackiego, był krytyk literacki i poeta Kajetan Koźmian, właściciel tutejszego dworu. Drewniany dwór, w którym mieszkał, dziś już nie istnieje, a na jego miejscu stoi murowany dworek z końca XIX wieku. Po Koźmianie w dawnym parku pozostały tylko buki, które sadził ze swoim przyjacielem, generałem Franciszkiem Morawskim.

W następnej miejscowości, Pszczelej Woli, czeka nas dłuższy postój. Wyśiadłszy z kajaków, najlepiej w okolicach mostu, szybko dojdziemy do pałacu, którego ostatnia właścicielka, Helena Maria Rohland, była wielką pasjonatką pszczelarstwa. Na terenie dawnych zabudowań majątku władze państwowe utworzyły jedyne w Europie technikum pszczelarskie. Główną atrakcją jest działający przy szkole skansen. Zbiera ono i zachowuje zabytki bartnictwa i pszczelarstwa, dzięki czemu możemy zobaczyć, jak wyglądały ule w czasach pana Zagłoby. Najstarszy ul pochodzi z XVII wieku, czyli z czasów, w których Sienkiewicz osadził bohaterów „Trylogii”.

Dopływamy do Osmolic. Trzeba tutaj zobaczyć niezłe zachowany pałac z otaczającym go parkiem. Jego historia sięga 600 lat wstecz, a podczas spaceru po parku można gołym okiem dostrzec zamysł ogrodowego projektanta.

Końcowy etap naszej kajakowej trasy zaprowadzi do Prawiednik. Niedaleko miejsca, gdzie wysiądziemy z kaja-

ków, znajdują się dwa niewielkie stawy, a obok bar „Pod Pstrągiem” serwujący doskonałe pstrągi, karpie, sandacze i sumy, z grilla lub smażone. To nie tylko miejsce, w którym dobrze zjemy – nic nie stoi na przeszkodzie, aby złowić rybę samemu i zabrać do domu. Po drugiej stronie szosy powstał tor quadowy. Prowadzący go ośrodek Fun-sport proponuje nie tylko rozrywkę na czterech kółkach, lecz także paintball i spływy kajakowe.



Zabytkowy ul w skansenie w Pszczelej Woli.

Jeśli ktoś nie chce wracać do Lublina, może zostać na noc w Pszczelej Woli, w agroturystycznym gospodarstwie pszczelarskim u państwa Janików. Przed jego gospodarzami miody nie mają żadnych tajemnic. Wytwarzają oni kilkanaście rodzajów tego produktu i opowiedzą o nim wszystko. Można też wybrać nocleg w kwaterze agroturystycznej u państwa Jamrozów w Bystrzycy Nowej.

Kto będzie kontynuował spływ, dopłyne do Zalewu Zemborzyckiego. To już trasa bez przystanków, zapewniająca rekreację, ruch i świeże powietrze, co czyni ją idealną na wyprawę dla całej rodziny.

Następne wycieczki po powiecie lubelskim w kolejnych numerach miesięcznika.



51°03'N 22°26'E

Początek spływu znajduje się 20 km na południe od Lublina.

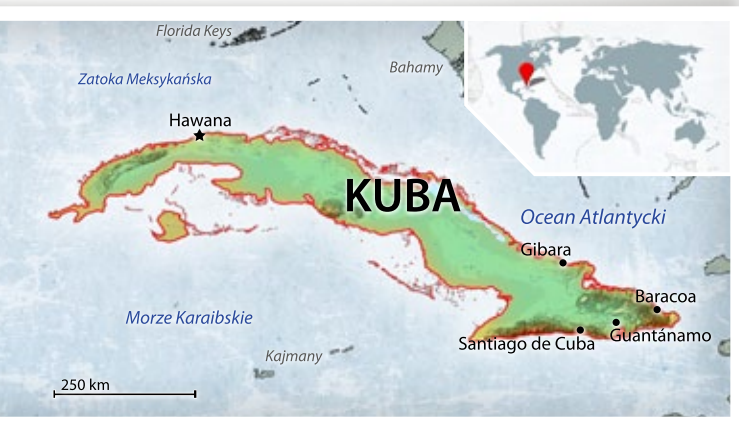


Niewątpliwą atrakcją spływu Bystrzycą są drewniane młyny oraz zespoły pałacowo-parkowe napotykanne po drodze.

FOT. STAROSTWO POWIATOWE W LUBLINIE

kowskich z XIX wieku, przywodzący trochę na myśl rezydencje polskich ziemian niczym z powieści „Noce i dnie” Marii Dąbrowskiej.

Dopływamy do Piotrowic. Ci, którzy uważali na lekcjach języka polskiego, pamiętają, że wrogiem numer 1 naszych wielkich wieszczów, Mickiewi-



To najpiękniejsza ziemia, jaką widziały moje oczy – te słowa Krzysztofa Kolumba o Kubie towarzyszyły mi od czasów szkolnych. Najpierw nauczycielka opowiedziała o odkryciu Ameryki, wcielając się w rolę słynnego żeglarza. Gdy przypadkowo trafiłam na książkę „Krzysztof Kolumb. Pisma”, stwierdziłam, że to sam odkrywca wysłał mi sygnał do odwiedzenia Kuby, a szczególnie jej wschodnich terenów. W czasie podróży skupiłam się właśnie na Oriente.

SŁONECZNE MIASTO VELÁZQUEZA

Baracoa została założona w 1511 roku przez Diego Velázquez, pierwszego gubernatora wyspy, jako pierwsza stolica hiszpańskiej kolonii.



Gdzie po raz pierwszy zakotwiczył odkrywca Kuby? Spór o to wiodą dwa miejsca: Gibara, gdzie w 1992 roku wzniesiono pomnik w 400. rocznicę przybycia Kolumba, i Baracoa, gdzie w katedrze znajduje się drewniany krzyż, który pochodzi z końca XV wieku (co stwierdzono na podstawie najnowszych badań opartych na pomiarze izotopu

węgla ¹⁴C). Dodać jednak należy, że nie przywieziono go z Hiszpanii, jak chcieliby niektórzy, ale został wykonany z kubańskiego drewna.

WÓDZ, CO NIE CHCIAŁ DO NIEBA

Baracoa to malownicze miasteczko na dalekim wschodzie, leżące u stóp El Yunque,

NA WSCHÓD OD HAWANY

Agnieszka Mikulec



góry o płaskim wierzchołku, o której najprawdopodobniej pisał genueński żeglarz w dzienniku pokładowym. „Przekonał się, że była to raczej wielka zatoka zamknięta od południowego wschodu przylądkiem, on zaś ten przylądek, utworzony przez wysoką graniastą górę, brał z daleka za wyspę...”. Baracoa, niegdyś pierwsza stolica Kuby, wita mnie senną atmosferą gorącego popołudnia.



WIELKI KACYK
Popiersie Hatueya, wodza Indian, który walczył z hiszpańskimi najeźdźcami i został przez nich spalony na stosie w 1512 roku.

SKOKI DO ZATOKI

Aby zaimponować rówieśnikom, a także dać niecodzienny i bezpłatny spektakl turystom, młodzi Kubańcy wykonują brawurowe skoki do zatoki Morza Karaibskiego.



FOT. AGNIESZKA MAKULEC

PUSTY PRZEBIEG

Położenie na skrajnym wschodzie wyspy powoduje, że mimo idyllicznej lokalizacji Baracoę odwiedza niewielu turystów. W tle przykład typowej dla miasta architektury.

Na placu przed katedrą przyglądam się mężczyznom, którzy grają w domino, zaglądam na uliczne stoisko z książkami, wchodzę do galerii miejscowych artystów. Kupuję aromatyczne kule kakaowe oraz pachnące gorz-

ką czekoladą balsamy do ust w małych, drewnianych beczułkach.

Siadam obok usytuowanego (o ironio!) naprzeciwko katedry pomnika indiańskiego wodza Hatueya, którego dumne oblicze



FOT. AZTEC IMAGES - SHUTTERSTOCK

sukrywa dramatyczną historię. Widział okrucieństwa konkwistadorów, więc starał się zjednoczyć plemiona przeciwko Hiszpanom. Indian pokonano, a Hatueya spalono na stosie. Przed śmiercią zapytano go, czy chciałby przyjąć chrzest, by trafić do nieba. Wódz miał zapytać, czy są tam jacyś Hiszpanie. Wobec pozytywnej odpowiedzi odrzekł, że woli piekło, byle bez nich. Tutaj nasuwa się pytanie: „Co ty na to, Kolumbie, namiestniku nowo odkrytych ziem?”.

Przerywam rozmyślenia i wzmocniona filiżanką znakomitego kakao, udaję się w stronę Maleconu – miejskiej promenady, na której zachodnim krańcu, tuż obok fortecy La Punta, siedzą mieszkańcy i plotkują, palą cygara, popijają rum, grają w karty. Jednak największe emocje wzbudzają mrożące krew w żyłach skoki młodych chłopców ze skał do oceanu. Stosują oni różnorodne techniki, zadziwiają gibkością ciał i odwagą. A wszystkiemu przygląda się dostojna postać Kolumba, przy którym turyści robią sobie obowiązkową fotografię.

Wieczorem wracam do centrum miasteczka, skąd docierają energetyczne dźwięki muzyki kubańskiej. Można wejść do Casa de la Musica (Domu Muzyki), ale ja wybieram miejsce przy stoliku na ulicy, z muzykami koncertującymi przed bramą między jednopiętrowymi domami. Mojito smakuje wyśmienicie, wokół panuje radosna atmosfera, a kubańskie rytmy zachęcają do tańca. Niedługo piję w samotności pyszny rum, gdy trochę nieśmiało podchodzi pomarszczony, szczupły staruszek i zaprasza do tańca. Ma na sobie białą *guayabera*, tradycyjną koszulę mieszkańców prowincji, z czterema kieszeniami z przodu. Oryginalnie ma być biała, choć można zobaczyć również wersje kolorowe, dla turystów. Odstawiam szklanekę i wkraczam w świat rytmów *son*. To mie-

szanka muzyki afrykańskich niewolników i hiszpańskich kolonizatorów, narodziła się właśnie w Oriente – wschodniej części wyspy.

Widać, że dla staruszka taniec to nie tylko ruch, ale i aktorstwo. Bawimy się przednio, mniej skupiamy na poprawności tanecz-



TRES AMIGOS
Uliczką Trynidadu
jadą trzej kubańscy
muszkieterowie.

nej, a bardziej na podgrzewaniu temperatury naszego minispektaklu, z całym wachlarzem emocji: od kokieterii, poprzez żartobliwe odpychanie, aż po wirowanie do granic tchu. W czasie przerwy na odpoczynek mój tancerz z dumą opowiada, jak walczył z Che Guevarą, daje mi w prezencie 3 pesos narodowe (w odróżnieniu od peso wymienialnego, przeznaczonego dla turystów), oczywiście z wizerunkiem Ernesto, a sam z chęcią pije zaferowane piwo. Taneczna noc trwa i trwa... Kiedy kładę się spać w hotelu, jeszcze cichutko nucę piosenkę „Guantanamera”, która jest zapowiedzią kolejnego dnia...

DZIEWCZYNA W GUANTÁNAMO

Mimo że Baracoa to cudowne miejsce, trzeba je opuścić, by doświadczyć innego zakątka ziemi kubańskiej. W głowie kołaczą jeszcze rytmy „Guantanamery”, co oznacza dziew-

SMAKI, SMACZKI I ŚLIMACZKI

Czerwony to kolor miłości, stąd może przekonanie o afrodyzjakalnym działaniu tych bananów.

Znakomity smak i aromat kubańskiej kawy doceniają turyści i tubylcy, którzy stawiają jej nawet pomniki.

Naturalna biżuteria z muszelek ślimaka *polimitas* jest piękna, ale zakup grozi zatrzymaniem przez służby celne.



czynę z Guantánamo. Legenda głosi, że znany prezenter radiowy został odrzucony przez spotkaną na ulicy kobietę i swoje uczucia przelał na papier. Wersja oficjalna podaje jednak, że tekst wywodzi się z wiersza kubańskiego poety, zwanego ojcem rewolucji, José Martíego. Niezwykła melodyjność piosenki spowodowała, że doczekała się ona wielu wersji, także w rymowanych przyśpiewkach kibiców sportowych.

Nazwa utworu przypomina, że nadal jestem w tej krańcowo wschodniej prowincji Oriente – Guantánamo – i zmierzam w stronę miasteczka o tej samej nazwie oraz w okolice osławionej bazy amerykańskiej. W mieście nie ma atrakcji turystycznych, nie widać stanu podwyższonej gotowości, nato-

miast bazę amerykańskiej marynarki wojennej można oglądać z punktu widokowego na wzgórzu. Nie należy się jednak spodziewać zbyt wiele, nawet gdy mamy lornetkę. Nie widać żadnych czołgów ani broni. Teren otoczony zasiekami, w promieniu dwóch kilometrów jest pole minowe, więc dostać się do bazy można tylko drogą morską lub samolotem, który przylatuje z zaopatrzeniem dwa razy w tygodniu. Żołnierze monitorują przestrzeń powietrzną, patrolują teren wokół bazy, ćwiczą, ale równoległe życie toczy się jak w amerykańskim miasteczku – jest szkoła, pole golfowe, pasaż handlowy, kino i jedyny na wyspie... McDonald's.

Skąd wzięli się Amerykanie na tym skrawku kubańskiej ziemi? Aby odpowiedzieć na

COCO TAXI

Te małe pojazdy to, obok kolorowych limuzyn z lat 50. i rowerowych riks, popularny środek transportu wśród turystów.





to pytanie, trzeba sięgnąć do 1901 roku, kiedy to na mocy tzw. Poprawki Platt, wpisanej do kubańskiej konstytucji, rząd Stanów Zjednoczonych ogłosił swoją własnością teren o powierzchni 116 km². Dodatkowo, według ustaleń z 1934 roku, Guantánamo pozostanie dzierżawą USA (płacą za nią śmieszłą kwotę czterech tysięcy dolarów rocznie), dopóki rząd amerykański nie zrzeknie się utrzymywania tutaj swojej bazy. Fidel Castro często powtarzał, że Guantánamo to „sztylet w sercu kubańskiej ziemi”. Jednak gdy piszę ten artykuł, już wiem, że Stany Zjednoczone i Kuba oficjalnie wznowiły stosunki dyplomatyczne po 54 latach przerwy. Kubańczycy twierdzą, że to duża zasługa Baracka Obamy. Jako pierwszy prezydent od czasów rewolucji rozmawiał on z Raulem Castro, przewodniczącym Rady Państwa. Stany otworzą w Ha-

wanie ambasadę i umożliwią inwestowanie na Kubie. Nie mniej oceniać tę sytuację, ale wiem jedno: już wkrótce wyspa bardzo się zmieni. Quo vadis, Kubo?

REWOLUCJA I WODNE EWOLUCJE

Następnego dnia udaję się w stronę drugiej po Baracoa stolicy wyspy, Santiago de Cuba. Po drodze mijam czasem *camella*, czyli wielbłąda – tak nazywa się autobus wykonany z kawałka ciężarówki i ogromnej naczepy imitującej kadłub. Ten dziwny pojazd, mieszczący nawet 100 osób, spotyka się tylko we wschodnich prowincjach, ponieważ w Hawanie jeżdżą już chińskie autobusy. W Santiago de Cuba ujrzą też przeznaczoną do przewozu ludzi ciężarówkę z plandeką.

ŚWIĘTY PIOTR NA SKALE
Zamek San Pedro de la Roca znajduje się kilka kilometrów od Santiago de Cuba. Można się tu zapoznać z historią pirackich najazdów na miasto.

Jadę, a przy szosie sprzedawcy oferują słodkie mango, soczyste ananasy czy czerwone banany, podobno znakomite na potencję. Przy punktach widokowych nagle pojawiają się

nego za kolebkę rewolucji. To tutaj 26 lipca 1953 roku około 5.00 nad ranem grupa pod dowództwem Fidela Castro zaatakowała kościół Moncada (obecnie muzeum i szkoła).



TU DOMINUJE DOMINO

Na Kubie życie towarzyskie toczy się na ulicy. Mieszkańcy spotykają się ze sobą na pogaduszkach, rozgrywkach w domino czy paleniu cygar na progach domów.

sprzedawcy *z cucurucho* – rożkami z wiórkami kokosowymi słodzonymi cukrem lub miodem. Oferują też oryginalną biżuterię z nasion i wabiących kolorami muszli ślimaków. Jako amatorka naturalnej biżuterii, kupuję kilka sznurków, ale wybieram tylko te z nasion, ponieważ ślimaki lądowe (*polimitas*) są chronione prawem międzynarodowym i próba ich wywozu może zakończyć się poważnymi kłopotami.

Docieram do Santiago de Cuba, drugiego co do wielkości, po Hawanie, miasta uważa-

Wybrano ten termin, ponieważ liczone na zmniejszoną czujność wojskowych po uciechach karnawałowych. Karnawał na Kubie odbywa się w lipcu. Atak odparto, rewolucjonistów torturowano i zabijano, Fidel został osadzony w więzieniu. W procesie, jaki mu wytoczono, bronił się sam i wtedy padły słynne słowa: „Skażcie mnie, panowie sędziowie, historia mnie rozgrzeszy”.

Inny, ściśle rewolucyjny element Santiago de Cuba, to grobowiec José Martíego. Został

tak zaprojektowany, aby przez górne okno zawsze wpadały promienie słońca, ponadto co pół godziny odbywa się tu uroczysta zmiana warty. Wieczorem chodzę po placzkach i słucham afrykańskich bębnów, klasycznej gitary oraz wierszy rewolucyjnych wygłaszanych z płomiennym entuzjazmem przez starsze osoby.

Santiago de Cuba leży nad Morzem Karaibskim, więc nie mogę przegapić okazji, aby nie zanurzyć się w szafirowej i ciepłej wodzie, zwłaszcza że lipiec to czas wysokiej temperatury i dużej wilgotności powietrza. Trafiam na plażę u ujścia rzeki, gdzie odpoczywają dwie rodziny z gromadką dzieci, których obserwacja sprawia mi ogromną frajdę. Cóż może być przyjemniejszego niż spontaniczna zabawa z wykorzystaniem tego, co się ma pod ręką: a to bitwa wodna z użyciem zielonych gałęzi jako broni, a to skoki do wody z wystającego korzenia. Powstaje również szałas w wodzie, by schronić się przed palącym słońcem.

Nie byłabym sobą, gdybym nie dołączyła do dzieciaków. Gramy zdezelowaną piłką, skaczymy wspólnie na falach morskich, później zajadamy się słodkim mango razem z całą rodziną. Błogo jest smakować soczysty owoc, pomazać buzię, oblizywać słodkie palce – wszystko w atmosferze radości i spontaniczności. Na koniec ojciec rodziny przyprowadza odpoczywającego w zaroślach konia, kąpie go w falach i proponuje mi przejażdżkę po plaży. Zgadzam się bez wahania, choć



**Audycja dla ludzi ciekawych świata.
W każdą sobotę od 10:00 do 13:00.**

ODKRYJ W SOBIE PODRÓŻNIKA

R E K L A M A

konik jest bez siodła. Ogarnia mnie cudowne poczucie wolności i beztroski, a piękno wokół pozwala poczuć się jak w niebie – może podobne uczucie towarzyszyło Kolumbowi, gdy poznawał coraz to większe połacie kubańskiej ziemi...

Późnym popołudniem żegnamy się serdecznie, daję im to, co mam: długopisy, mydelka Fa (widzę błysk w oku na widok tej konkretnej marki), cukierki, podkoszulki – to wciąż towary deficytowe na wyspie. Udaję się na nocleg z poczuciem szczęścia i chęcią pozostania na Kubie do końca świata.

Jak wyglądałaby Kuba, gdybyś do niej nie dopłynął, Kolumbie? A jeśli nie ty, kto inny odkryłby ten skrawek raju? Właśnie raju, bo na starych mapach raj umieszczano na wschodzie... ○



Agnieszka Mikulec

Animatorka kultury polskiej w kraju i za granicą. W podróżach nade wszystko ceni spotkania z ludźmi. Ma na swoim koncie publikacje dydaktyczne m.in. dla Narodowego Instytutu Audiowizualnego i wydawnictwa Rubikon.



FOT. AGNIESZKA MIKULEC

Tokina 70–200

70 mm

f/4

1/2000

ISO 800

GRAN CANARIA W KADRZE

Podróżujący samolotem pasjonat fotografii nie ma lekko. Przewożenie sprzętu fotograficznego w bagażu głównym to ryzyko. Można tam schować statyw, lecz aparat i obiektywy najlepiej trzymać w podręcznym plecaku fotograficznym. Doskonale sprawdzi się w tej roli np. Genesis Nattai.

Gran Canaria. Z pewnością tym, co zwróci naszą uwagę na początku, będą szalone fale oceanu uderzające o rdzawe, skaliste brzegi. Potęgę żywiołu czuć na miejscu, ale fotografia może już nie oddać tej siły. Jeśli użyjemy teleobiektywu takiego jak Tokina 70–200 f/4 PRO FX, zanurzymy się w falach, a szczegóły pozostałych planów pozostawimy poza kadrem. Trzeba pamiętać, że rozbryzg wody o ostre skały to zjawisko dynamiczne. Czasy migawki proponowane przez automatykę aparatu mogą być zbyt długie i rozpryskująca się woda będzie sprawiała wrażenie poruszonej. Lepiej zatem użyć trybu oznaczonego zwykle literą S lub Tv, w którym narzucimy automatyce własny czas: jedną dwutysięczną sekundy.

Maspalomas słynie z piaszczystych plaż i wydm oraz olbrzymiej liczby turystów. Fotografowie otwartych widoków mogą czuć się zawiedzeni, jednak chwila wędrówki przeniesie nas w miejsca puste, czasem nawet na tyle rozległe, że będziemy mogli użyć szerokiego kąta, takiego jak Tokina 11–20 f/2.8 PRO DX. Wystarczy kilka minut marszu w stronę lądu i będziemy sami. Jeśli ograniczymy widoczność horyzontu ostatnich planów, możemy sprawić wrażenie, że nie znajdujemy się na plaży, lecz na pustyni. Takie zdjęcia wykonujemy z mniejszej wysokości, z tak zwaną perspektywą żabiej.

Tokina 11–20, Filtr CPL Hoya Fusion Antistatic

11 mm

f/8

1/400

ISO 200

Tokina 11–20

20 mm

f/4

1/4000

ISO 200

Na Gran Canarii nie możemy się nie wybrać na najslawniejszy szczyt wyspy, zwany Roque Nublo. U celu wędrówki, na nagim płaskowyżu, znajdują się dwie samotne skały. Ten widok chce się sfotografować, jednak jest to miejsce bardzo popularne wśród turystów i z pewnością na zdjęciu wielu z nich będziemy mieć w kadrze, co osłabi efekt surowości i monumentalności. Wystarczy jednak założyć obiektyw szerokokątny, w tym wypadku Tokina 11–20 f/2.8 PRO DX, aby zmieniła się perspektywa ujęcia. Turysty nadal będą widoczni, ale skalne formacje zdecydowanie zdominują temat zdjęcia. Na miniaturze, która została zrobiona obiektywem standardowym, widzimy przypadkowych ludzi. Obiektyw szerokokątny oddalił skały wraz z sylwetkami i uzupełnił kadr surowym pierwszym planem oraz ciemnoniebieskim niebem.

Tokina 70–200

200 mm

f/4

1/800

ISO 200

Widoki ze szczytu są fantastyczne. Na horyzoncie można dojrzeć wulkan Teide na Teneryfie, oddalony o ponad sto kilometrów. Teleobiektyw taki jak Tokina 70–200 f/4 PRO FX pozwoli złapać w kadrze wulkan wraz z chmurami nad oceanem i zachodnią częścią Gran Canarii. Odległość jednak sprawia, że ostatni plan zwykle jest zamglony. Tutaj z pomocą przychodzi półówkowy filtr szary Hoya GRAD ND10, o miękkiej gradacji, przyciemniający połowę zdjęcia, którą wybieramy, obracając oprawkę filtra. Obserwując w wizjerze obraz, obracamy filtr w ten sposób, aby przywrócić równowagę między wyraźnym pierwszym planem i bladym planem ostatnim.



Tokina 24–70, Filtr CPL Hoya Fusion Antistatic

70 mm
f/4
1/125
ISO 200

W urokliwym porcie Puerto de Mogán oprócz zacumowanych tam jachtów wpadają w oko ławice ryb, krążące wokół kolorowych skał widocznych doskonale w krystalicznie czystej wodzie. Jednak przy próbach fotografowania podwodnego życia natykamy się na problem odbić nieba w tafli wody, uniemożliwiający zagłębienie pod jej powierzchnię. Tym razem sytuację uratuje filtr polaryzacyjny, np. Hoya Fusion Antistatic, który potrafi takie odbicia wyeliminować. Sukces będzie wymagał pewnych ćwiczeń, gdyż skuteczność usuwania odbić zależy nie tylko od kąta obrotu pierścienia filtra, ale kąta naszego położenia względem powierzchni wody. Na szczęście efekty zobaczymy w wizjerze, więc po chwili prób znajdziemy taką konfigurację ustawień, która pozwoli sfotografować podwodne życie z jakością dostępną zwykle tylko podczas nurkowania!

Podczas wędrowki po miasteczkach Gran Canaria możemy natknąć się na takie widoki. Jak wiadomo, są to chwile ulotne, kocie zainteresowanie trwa bardzo krótko. Używana podczas zwiedzania załków uniwersalna Tokina 24–70 f/2.8 PRO FX dzięki swojej jasności umożliwi rozdzielenie planów, pozostawiając szarego kota w centrum ostrości i rozmywając tło, w którym panował nieciekawy bałagan, a dzięki szybkości autofocusa pozwoli uchwycić dokładnie ten moment, w który celowaliśmy. Efekt silnego rozmycia tła, uzyskany za pomocą pracy na niskich przysłonach, może nam nie wyjść na dobre, jeśli prześwietlimy zdjęcie. Takie sytuacje ratuje szary filtr Hoya PRO ND8.



Tokina 24–70, filtr szary Hoya PRO ND500

65 mm
f/5.6
8 s.
ISO 200

Magiczna godzina, zwana także złotą, to ostatnia godzina dnia, zakończona zachodem słońca, i analogicznie pierwsza godzina tuż po jego wschodzie. W tym czasie kolory świata są najbardziej bajkowe i zaskakujące. Jeszcze więcej magii uzyskamy, kiedy w owej godzinie użyjemy silnego filtra szarego, jak Hoya PRO ND500. Będzie nam także potrzebny statyw, na przykład lekki Genesis Base C3, ponieważ po założeniu takiego filtra czasy ulegną wydłużeniu i osiągną wartości kilkusekundowe. Ruch na zdjęciu zostaje rozmyty, grzywy fal zamieniają się w mgiełki o barwach zapożyczonych od skał, wody i odbijającego się zachodzącego słońca. Pamiętajcie, by statyw stał na stabilnym podłożu, a w razie silniejszego wiatru dociągnie go torbą lub złożycie, naświetlając zdjęcie z niższej perspektywy. Przy tak długich czasach trzeba wyłączyć układy stabilizacyjne. Charakterystyczną cechą zdjęć naświetlanych przez silne filtry szare jest nieoczywista kolorystyka. Zgaszone barwy przy długim naświetlaniu wzmacniają się, tworząc bajkowy świat.



Tokina 24–70, filtr szary Hoya PRO ND8

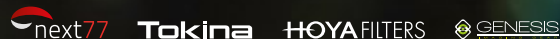
70 mm
f/2.8
1/125
ISO 400

Zdjęcia powstały podczas wyprawy fotograficznej Gran Canaria z Tokiną w lutym 2016 roku.



Tokina 24–70
38 mm
f/8
1/400
ISO 200

Artykuł powstał na zlecenie Next77, wyłącznego dystrybutora marek Tokina, Hoya Filters i Genesis Gear w Polsce.



TRUDNA PRZEPRAWA

Alicja Kubiak, Jan Kurzela



FOT. ANTON IANOV - SHUTTERSTOCK

Wstaliśmy bardzo wcześnie, bo musieliśmy zdążyć na prom. Chcieliśmy dostać się do Dakaru, a to była jedyna możliwa droga. Prom na rzece Gambia między stolicą państwa Bandżul a Barra, miastem portowym na drodze do Senegalu, kursuje codziennie od 7.00 do 21.00, ale rozkład nie istnieje. Gdybyśmy jednak wiedzieli, co nas czeka, nie spieszylibyśmy się tak.

Przecież nie można przewidzieć, ile czasu zajmie załadowanie promu, jaki będzie stan wody, czy wszystkie papiery będą w porządku, prawda? – usłyszeliśmy od pracownika portu. – Czasami nawet uda nam się wyruszyć w swój pierwszy rejs już około ósmej rano, ale nie wiemy, jak on będzie przebiegał, czy wszystko pójdzie sprawnie.

KOLOROWE PANIE, SZARZY PANOWIE

Zaraz po śniadaniu udaliśmy się do portu. Jego brama przypominała wjazd na złomowisko lub wysypisko. Po górach śmieci spacerowały sępy i tylko bezpieczne psy potrafiły na chwilę poderwać je do lotu. Kupiliśmy bilety i zostaliśmy wpuszczeni na teren portu. Podjechalśmy

do miejsca, z którego odpływa prom, i ustawiliśmy się w kolejce. Przed nami stały już trzy samochody osobowe i dwie ciężarówki. Dowiedzieliśmy się, że prom nie wypłynął jeszcze z Barry, więc musimy cierpliwie czekać.

Na bramę, przez którą na prom wchodziłi piesi, napierało coraz więcej osób. Tłum gęstniał z każdą minutą. Bardzo podobały nam się kolorowe stroje miejscowych kobiet. Były ubrane w finyzyjne sukienki i spódnice ozdobione dużą ilością falbanek i koronek. Z daleka nie było widać plam i zabrudzeń, więc całość prezentowała się bardzo interesująco. Mężczyźni za to nosili szare, brudne koszule i spodnie, często poprute i z dużymi dziurami. Zupełnie nie mogliśmy zrozumieć tego kontrastu. Nie było mężczyzny, o którym można było powiedzieć, że jest przyzwoicie ubrany. Nawet wojskowi mieli bardzo zaniedbane mundury.

Po jakimś czasie dojrzeliliśmy do tego, żeby rozprostować nogi. Chcieliśmy też zaopatrzyć się w dodatkowe butelki wody. Ponieważ w zasięgu wzroku nie było żadnego sklepiku, musieliśmy odejść trochę dalej. Szukaliśmy, jednak nie znaleźliśmy żadnego miejsca, w którym można by uzupełnić zapasy. Pomyśleliśmy, że dobrze byłoby też skorzystać na zapas z toalety. Niestety, na terenie portu nie ma ani

sklepów, ani toalet. Nieważne, że pasażerowie spędzają tu wiele godzin w palącym słońcu.

Aby wrócić do naszego samochodu, musieliśmy się nieźle natrudzić, gdyż kolejka oczekujących aut rosła w oczach. Przybywające samochody chaotycznie zajmowały całą przestrzeń. Ciężarówki, autobusy i osobówki stały ciasno obok siebie. Z trudem przeciskaliśmy się między przeróżnymi pojazdami. Czego tam nie było! Większość z nich załadowana ponad wszelką miarę. Rzędy worków przewyższały same ciężarówki. Na dachach innych samochodów przymocowano skrępowane sznurkami i pokryte sieciami owce, kozy czy świnię. Kury, kaczki i inny drób dostąpił luksusu podróżowania w ogromnych wiklino-



TARGOWISKO RÓŻNOŚCI

Na przyportowym bazarze można kupić wszystko: od sprzętu gospodarstwa domowego po wyroby rękodzielnicze. To miejsce kolorowe, gwarne, ale i niebezpieczne dla nieostrożnych turystów.



wych koszach poupychanych jeden na drugim i powiązanych szerokimi, popękkanymi pasami. Całości dopełniał niesamowity rwetes i harmider oraz zapach, który przyprawiał o mdłości.

MUCZĄCY KARAMBOL

Gdy przepychaliśmy się między samochodami, musieliśmy bardzo uważać, żeby o nic nie zahaczyć i nie zniszczyć sobie ubrania. W pewnym momencie zobaczyliśmy mężczyznę, który głośno nawoływał. W ręku trzymał długi bat. Weszliśmy do stojącego autobusu, aby ułatwić mijankę. To okazało się naszym wybawieniem. Za mężczyznę podążało bowiem stado krów! Było ich kilkanaście. Krowy w Gambii czy Senegalu znacznie się różnią

rawiły boki samochodów. Powiązane ze sobą grubym łańcuchem, pozbawione możliwości zatrzymania się, muczały przeraźliwie, jak prowadzone na rzeź. Rozszczekane bezpańskie psy wściekle biegały pod samochodami, między nogami krów i tuż za stadem, wypełniając każdy wolny centymetr przestrzeni. Były brudne, zapchlone i nieustannie nękanie przez muchy. Myśleliśmy, że już gorzej być nie może.

Jak bardzo się pomyliliśmy, okazało się kilka chwil później, gdy jedna z krów zahaczyła rogami o nadkole samochodu. Głowa utknęła jej między kołem a blachą. Nie mogła uwolnić łba, stała przerażona i ryczała wniebogłosy. Uwiązany łańcuch wbijał się jej w kark. Zakleszczona głowa przytrzymywana była przez nadkole, a resztę ciała ciągnęły prowadzone krowy. Widok był przerażający! Pasterz ani na chwilę nie zwolnił, wręcz przeciwnie – pociągał krowy jeszcze mocniej. Nie wiemy, jakby to się skończyło, gdyby nie przeraźliwy krzyk jednej z pasażerek auta osobowego. Kobieta narobiła wrzasku, dołączyło się kilka innych osób i wtedy prowadzący stado zatrzymał je. Krowa po chwili oswobodziła się i lekko oszłamiona poszła dalej. My potrzebowaliśmy znacznie więcej czasu, zanim byliśmy w stanie ruszyć się z miejsca.



PROM TO ZŁOM

Kiedy zauważyliśmy, że macha do nas nasz kierowca, bardzo się ucieszyliśmy. Wsiedliśmy do klimatyzowanego pojazdu i odetchnęliśmy z ulgą. Na horyzoncie pojawiła się ciemna dymiąca plamka. Zbliżał się prom. Mieliśmy nadzieję, że na tym skończyły się mocne wrażenia tego dnia, jednak z każdą chwilą, która coraz dokładniej ukazywała zbliżający się statek, przerażenie wbijało nas w fotel. Z czterech kominów dymił tylko jeden, co oznaczało, że działa tylko jeden silnik. Potwierdził to nasz kierowca i dodał, że rząd nabył ten prom w 2004 r. od Ukrainy, gdzie został on wcześniej... zezłomowany!

– Ale przecież pływa, a że od czasu do czasu coś się popsuje, to przecież normalne, załoga dokonuje naprawy na bieżąco – uzupełnił. Nie chcieliśmy już tego słuchać. Prom zacumował i z pokładu zaczęła spływać żywa rzeka. Najpierw setki ludzi, kolorowo ubranych kobiet

NIEMODNA OFERTA

Mężczyzna handlował na promie odbiornikami radiowymi, pirackimi kasetami, płytami CD i DVD. Sprzęt, jaki proponował, pamiętał lata 90. W swojej ofercie miał również piłki dla dzieci.

od polskich. Są chudsze i mniejsze, jednak ich rogi mają nawet po 60 cm, a jeśli dodać obwód łba, robi się dobrze ponad półtora metra. Jest to informacja dość istotna w kontekście szerokości drogi, którą były prowadzone. Niektóre samochody stały w odległości kilkudziesięciu centymetrów od siebie, tak że nawet my mieliśmy trudności z przejściem.

Pasterzowi zdawało się to nie przeszkadzać. Szedł szybko, prężnym krokiem, raz po raz nawołując. Krowy tymczasem obracały głowy i wykrcęły się, jak mogły, żeby tylko nadążyć za przewodnikiem. Rogami rysowały i dziu-

z wielkimi ładunkami na głowach. Ponieważ był to dzień targowy, panie przewożyły ogromne ilości materiałów, poduszek, ręczników, pledów i garnków. Szara strużka mężczyzn opuszczała prom na rowerach, z wiadrami, torbami, niewyobrażalnie obciążonymi taczkami i zwierzętami. Dziesiątki ciężarówek, autobusów i samochodów osobowych powoli zjeżdżało z podestu. Wiele z nich ze zwierzętami na dachu, choć nie tylko. Kozy były transportowane również w bagażnikach aut lub na rowerach. Spośród tego chaosu wyłoniły się nagle cztery duże, dwugarnbne wielbłądy. Również pasażerowie promu.

Opustoszały prom wzbudzał grozę u każdego turysty. Miejscowi nie widzieli żadnego problemu w ledwo działającym jednym silniku, kilkumetrowych dziurach wyżartych przez rdzę i zapadającej się podłodze. Na miękkich nogach staraliśmy się wejść pierwsi, żeby zająć w miarę bezpiecznie miejsce na pokładzie, tuż przy barierkach. Bardzo chcieliśmy się trzymać wersji, że w razie wypadku będziemy mogli skoczyć na główkę i odpłynąć w siną dal. Chyba tylko taka perspektywa pozwoliła nam wejść na ten prom.

Załadunek ludzi, pojazdów i zwierząt trwał ponad godzinę. Potem czekaliśmy jeszcze dwie, aż odpływ minie i stan wody w rzece się podniesie. Staliśmy więc w prażącym słońcu, bez wody, bez toalety, za to obok kur, kaczek, krów, wielbłądów i tłumu ludzi. Sprzedawcy, którzy krążyli po promie, oferowali soki i wodę, jednak ich pochodzenie skutecznie nas zniechęcało. Sprzedawali też pomarańcze i obierali



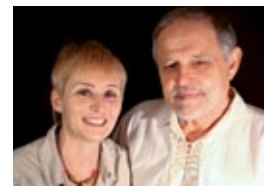
je na miejscu tym samym nożykiem, którym przed chwilą grzebali sobie w zębach czy uchu. Z rzeczy bardziej higienicznych mogliśmy nabyć radioodbiorniki, kasety, pirackie płyty CD i DVD, poduszki, pledy, materiały, farby i kleje... Praktycznie wszystko to, co było z nami na pokładzie. Tylko po co? Najważniejszym punktem wyprawy stało się przeżycie, a to wcale nie było takie pewne.

Prom ruszył i usłyszeliśmy dźwięk zgniatanego metalu. Piszczalo, skrzypiało i jęczało przez cały czas. Statek trząsał się niemiłosiernie, a smród spalonego oleju unosił się w powietrzu. Przetrwaliśmy, jednak było to jedno z najdłuższych 30 minut w naszym życiu. Jakis czas później, gdy już mieliśmy dostęp do internetu, na oficjalnej stronie rządowej przeczytaliśmy takie oświadczenie:

„Prom jest w kiepskim stanie technicznym. Jeżeli pomimo tego zdecydują się Państwo z niego korzystać, prosimy o natychmiastowe opuszczenie samochodów zaraz po wjechaniu na pokład, aby nie znaleźć się w potrzasku podczas podróży. Prosimy nie korzystać z promu po zmroku”. ○

BARRA BRAMA

Wyjście na ląd. Brama do stabilnego gruntu i spokojnego umysłu. Przerdzewiały prom pustoszał przez ponad 20 minut. Najpierw wychodzili pasażerowie piesi, potem wjeżdżały auta osobowe, a na końcu ciężarówki i autobusiki.



Alicja Kubiak i Jan Kurzela

Odwdiedzili najdalsze miejsca na świecie, korzystając z najróżniejszych środków lokomocji. Autorzy książki „Oczami Dos Gringos: Meksyk, Gwatemala i Belize”.





SOFT OBLĘŻENIE

Pod zamkiem Sümeg. Tak, w pomniejszeniu, wyglądały tureckie oblężenia. Tyle że tu akurat nie były szczególnie dramatyczne.

WAROWNIE



Na terenie dawnego Królestwa Węgierskiego zachowało się całkiem sporo zamków, najwięcej na Słowacji i w Rumunii. Te siedmiogrodzkie to temat na oddzielną wyprawę. Dziś przyjrzymy się trzem ciekawym obiektom leżącym na Węgrzech: Szigetvár, Diósgyőr i Sümeg.

Z DUSZĄ

Andrzej Hildebrandt



OKIEM DRONA

Gdyby Turcy mieli drony, to zamek w Szigetvár widzieliby mniej więcej tak.

SAMI WSPANIALI

Najlepiej znany wizerunek Sulejmana Wspaniałego, pędzla wspaniałego Tycjana.



Miasteczko Szigetvár (Zamek na Wyspie) znajduje się niedaleko Pecz, a od 2011 roku nosi dumny tytuł Civitas Invicta, czyli Miasto Niezwyciężone, nadany mu przez węgierski parlament. Głównym powodem do chwały miasta o tej nazwie jest właśnie zamek, którego oblężenie w 1566 roku przeszło do historii. Po dość łatwym pokonaniu węgierskiej armii pod Mohaczem (1526 r.) pierwszy porządny atak na Węgry i Wiedeń Sulejman Wspaniały przeprowadził w roku 1532, ale wówczas został zatrzymany. Po raz drugi spróbował wielkiej inwazji w roku 1543, kiedy to zdobył Ostrzyhom, Białogród Królewski i Segedyn. Trzecią próbę, którą w jego imieniu prowadziło dwóch paszów, Ahmed i Ali, odparł pod murami Egeru Stefan Dobó.

POD TURECKĄ NAWAŁĄ

Kiedy Sulejman postanowił najeżdżać niepodbite dotąd resztki Królestwa Węgier po raz czwarty, miał już 72 lata, rządził od 46 lat i poprowadził dwanaście wielkich kampanii. Ale armia, z którą wyruszył na Szigetvár, była jedną z największych w jego karierze. Naprzeciw stu pięćdziesięciu tysięcy Turków w sierpniu 1566 r. stanęło 2 300 Chorwatów i Węgrów pod dowództwem bana Chorwacji Nikoli Šubicia Zrinskiego (z węgierska: Miklós Zrínyi). Za-

mek był znakomicie przygotowany do obrony. Po kolejnym bezskutecznym szturmie Sulejman zaproponował nawet Zrinskiemu, że ów może zatrzymać tytuł bana Chorwacji, tyle że pod władaniem Turków. Zrinski na odpowiedź „a ja daruję Jego Sułtańskiej Mości Niderlandy” nie wpadł i turecką propozycję zbył wyniosłym milczeniem.

Trwające ponad miesiąc walki przyniosły spore straty obu stronom i zanosilo się na to, że wygra ten, kto przetrzyma przeciwnika psychicznie. Większość murów była już zmieniła w ruinę, obrońcy odpierali ataki z wewnętrznego zamku, utraciwszy 1 700 ludzi. W krwawych szturmach poległo kilkadziesiąt tysięcy Turków, a w armii pojawiły się głosy niezadowolenia. Wtedy dość nieoczekiwanie, o świcie 7 września 1566 r., Sulejman po cichutku zmarł w swoim namiocie.

Śmierć sułtanów miewała zwykle fatalny wpływ na morale tureckich armii, natomiast znakomity na morale jej przeciwników. Taka sytuacja powodowała zazwyczaj bunt janczarów, uśmierzany hojnymi datkami. Dowodzący armią turecką wielki wezyr Sokollu Mehmed Pasza miał jednak głowę na karku. Natychmiast rozkazał stracić świadków śmierci sułtana i rozpuścić wieść, że sułtan jest chory i nie będzie wychodził z namiotu. Potem wysłał najlepszego jeźdźca do Stambułu, do syna sułtana imieniem Selim, z wiadomością o śmierci ojca (a jeździec musiał być świetny, bo dojechał do celu zaledwie w osiem dni). Morale obrońców zatem nie mogło wzrosnąć, a Sokollu Mehmed Pasza szybko wydał rozkaz do osta-

tecznego szturmu. Zrinski, który nie wiedział o śmierci sułtana, gotował się na śmierć. Zebrał wszystkich pozostałych przy życiu obrońców przy jednej bramie zamku, rozkazał wystrzelić z olbrzymiego działa napakowanego wszystkim, co zostało, a potem na czele pozostałych sześciu setek obrońców w stracącym ataku wypadł na szturmujących. Walczyli dzielnie, ale nie udało im się przebić – wszyscy zginęli.

Historia Miklósa Zrínyiego wcale się jednak na tym nie zakończyła. Prawnikiem bohatera spod Szigetváru był jego imiennik, niezwykle utalentowany: Zrínyi Miklós, a költő hadvezér és politikus (czyli: Miklós Zrínyi, poeta, generał i polityk). Był on naczelnym wodzem armii węgierskiej walczącej z Turkami, parem Francji, kawalerem Złotego Runa i jednym z przywódców antyhabsburskiej opozycji. Nie z tego jednak zapamiętała go przede wszystkim historia, ale z poematu „Szigeti veszedelem” („Oblężenie Szigetváru”), w którym dokonał apoteozy swego pradziadka, przyrównując go do Hektora i każąc mu zabić Sulejmana w epickiej scenie walki armii aniołów i demonów. Powszechnie uważa się, że to Milton swoim „Rajem utraconym” wskrzesił zapomniany już gatunek poematu epickiego, tyle że „Oblężenie Szigetváru” powstało 16 lat wcześniej. No ale węgierski jest nieco mniej znany niż język angielski...

Miklós Zrínyi zginął w wypadku na polowaniu, zabity przez dziką, choć na Węgrzech powszechnie uważano, że zabito go z rozkazu Habsburgów, dla których był istnym wrzodem na imperialnej dumie. Podobno krótko po śmierci Zrínyiego na cesarskich rautach pokazywano pewną guldynekę, mówiąc: „Oto dzik, który zabił Zrínyiego”.

Dzisiaj w mieście Szigetvár historia zamknęła kłamrą dzieje sułtana i bana. Połączeni po śmierci, znajdują się na jednym pomniku w Parku Przyjaźni Węgiersko-Tureckiej.

ZAMEK KRÓLOWYCH

Tak jak Szigetvár zajmuje szczególne miejsce w historii stosunków węgiersko-tureckich, tak ważną sceną relacji węgiersko-polskich był niejednokrotnie zamek Diósgyőr. Kiedy stojąca na jego miejscu, pochodząca jeszcze z czasów zdobywania ojczyzny (kiedy dwadzieścia

parę tysięcy Madziarów przez Przełęcz Werczką wpadła na tereny Panonni i podbiła je ogniem i mieczem), niewielka warowienka została zniszczona w czasie najazdu Mongołów, król Bela IV, ogarnięty obsesją porządnego ufortyfikowania kraju, rozkazał zbudować w tym miejscu solidny zamek.

Kiedyś było to oddzielne miasteczko, które obecnie stanowi część Miskolca, a zamek to jeden z dwóch powodów, aby do Miskolca pojechać (drugim jest kąpielisko termalne zbudowane wewnątrz góry, w wydrążonych jaskiniach). Zamek w Diósgyőr w XIII i na początku XIV w. znajdował się w rękach swoich budowniczych, czyli rodu Ernye – aż do momentu ich nieopatrznego buntu przeciw królowi. Karol Robert się nie ceregielił, rebelię spacyfikował, a zamek znacjonalizował, to znaczy przejął na własność swojej królewskiej osoby. Król zamków miał sporo, toteż ok. 1340 roku podarował go swojej małżonce Elżbiecie Łokiet-



FOT. ANDRZEJ HILBRANDT

KOŃ BY SIĘ UŚMIAŁ
Wódz obrońców Szigetváru, Miklós Zrínyi – na wilku? Koniu? Na czym, wie tylko autor pomnika, który posadził bohatera na stworze niewątpliwie dodającym mocy.

ZAMEK PRZYJAŹNI

Diósgyőr to jedna z największych atrakcji Miskolca. Ten zamek pobudowany w XIII w. i leżący na najkrótszej trasie z Węgier do Polski był świadkiem dwustuletnich więzi dynastycznych obu państw.



FOT. SHUTTERSTOCK



FOT. ANDRZEJ HILDEBRANDT

BRATERSTWO BRONI

Wielka sala rycerska na zamku w Diósgyőr, udekorowana tarczami herbowymi rycerstwa węgierskiego i polskiego.

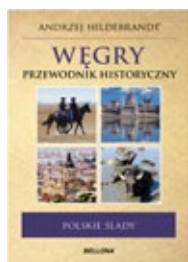
kównie, czym zaskarbił sobie jej wdzięczność i zapoczątkował tradycję, według której kolejne królowe otrzymywały ów zamek w prezencie. Toteż obiekt ten często potem nazywany był „zamkiem królowych”. Po Elżbiecie były to m.in. Katarzyna z Podiebradów, Beatrycze Aragońska (obie były żonami Dobrego Króla Macieja), Anna Jagiellonka (żona Stefana Batorego) czy Maria Habsburżanka.

Największą świetność zamek przeżył jednak za czasów Ludwika, zwanego w Polsce Węgierskim, a na Węgrzech Wielkim – króla Polski i Węgier, oraz jego córki Jadwigi, żony Władysława Jagiełły. Diósgyőr znajduje się zresztą na najkrótszym szlaku z Polski na Węgry, i zarówno sam król, jak i jego dygnitarze, orszaki i gońcy, przemierzający się między tymi dwiema perłami w koronie Andegawńczyka, zatrzymywali się tam bardzo często. Zamek odgrywał wówczas dość znaczącą rolę, to właśnie tutaj na przykład podpisano w 1381 roku pokój kończący pięcioletnią wojnę pomiędzy Wenecją, Cyprzem i księstwem Mediolanu – z jednej strony a Węgrami, Genuą, Austrią, Padwą i patriarchatem Akwilei – z drugiej. Na mocy postanowień traktatu przegrana Wenecja musiała m.in. w każdą niedzielę wywieszać królewską flagę węgierską na placu św. Marka.

Kiedy polsko-węgierska unia personalna wygasła, zamek w Diósgyőr stracił na zna-

czeniu. W 1544 r. po niewielkim oporze zdobyli go Turcy, ale mało kto nawet ten fakt zauważył. Potem kilkakrotnie przechodził z rąk do rąk, a dni jego chwały powróciły na krótko w czasie wojen kuruców. Niepodległe Węgry wówczas nie istniały, a Węgrzy odrodzenie ojczyzny widzieli jedynie przy wsparciu Turcji (kurucowie) lub Austrii (labancowie). Oczywiście każda z frakcji uważała, że tylko ona reprezentuje prawdziwych Węgrów patriotów, a ci drudzy to gorszy sort. Największym wodzem kuruców i przywódcą antyhabsburskiego powstania (1703–11) był Franciszek Rakoczy. Zamek ucierpiał jednak wówczas tak bardzo, że w 1784 r. wydano pozwolenie na wykorzystywanie jego ruin jako budulca dla mostu nad rzeką Sajó. Romantyczne ruiny nawiedził jeszcze poeta Petőfi, a widok ten natchnął go do napisania wiersza pod tytułem „Alkony” („Zachód słońca”).

Dopiero za czasów komunistycznych podjęto decyzję o odbudowie zabytku, która trwała bardzo długo i zakończyła się w sierpniu 2014 roku. Dzisiaj możemy podziwiać całkiem urokliwy zameczek z czterema basztami w narożnikach i przydatną fosą, w której w czerwcu i sierpniu odbywają się wielkie uroczystości upamiętniające panowanie Ludwika Wielkiego, z gonitwami rycerskimi, przedstawieniami teatralnymi i jarmarkiem średniowiecznym.



ARTYKUŁ NA PODSTAWIE KSIĄŻKI PT. „WĘGRY. POLSKIE ŚLADY. PRZEWODNIK HISTORYCZNY” (WYDAWNICTWO BELLONA).



BELA BUDOWNICZY

Zamek w Sümeg nie wyróżnił się w historii niczym szczególnym – jak już zaczynano go oblegać, to obrońcy przeważnie pospiesznie go poddawali. Kiedy wpiszemy Sümeg w wyszukiwarce, pojawi się taki oto opis: „*Warownia ta wzniesiona została w XV wieku w miejscu dawnego drewnianego grodu obronnego. Jej fundatorem był ówczesny król Węgier Bela IV. Głównym zadaniem nowej twierdzy miała być ochrona miasta, jak i okolicznych terenów, przed częstymi najazdami tureckimi*”. Dwa błędy rzeczowe w jednym akapicie, dlatego internetom za bardzo ufać nie należy. Prawdą jest tu jedynie, że zamek wznosił król Bela IV. Miało to jednak miejsce 200 lat wcześniej, czyli w wieku XIII, zaraz po tym, jak najazd Mongołów obrócił ziemie węgierskie w perzynę, i to przed powtórzeniem takiej apokalipsy zamek miał chronić.

Bela IV wpadł w niezłą manię budowania zamków – zaczął je stawiać praktycznie na każdym wzgórzu. Natomiast o najazdach tureckich na ziemie węgierskie nikt jeszcze wtedy nie słyszał, nie mówiąc już o tym, że miały być „częste”. Turcy siedzieli wówczas spokojnie w Anatolii i lizali rany po tym, jak skórę przetrzepali im właśnie Mongołowie, zaś Imperium Osmańskie powstało dopiero w 1302 r. Tak potrafi edukować internet!

Zamek jest bardzo ładny i malowniczo położony. Obecnie znajduje się w rękach prywatnych, a żeby przyciągnąć zwiedzających, jego właściciele robią, co mogą. Zainwestowali spore środki w odrestaurowanie zabytku, toteż budowla jest obecnie chyba najlepiej odtworzonym zamkiem na Węgrzech. Organizowane tu walki rycerskie, połączone ze średniowieczną ucztą i pokazem grupowego tańca brzucha w wykonaniu całkiem fajnych szimeżanek, są niezwykle spektakularne. Wiem, co mówię, bo w niejednym turnieju sam brałem udział. ○

GDYBYM TO JA MIAŁA SKRZYDEŁKA JAK GĄSKA

Tańce średniowiecznych białogłówn na zamkowym dziedzińcu to jedna z atrakcji pięknie odrestaurowanego Sümegu.



GŁAZOBICIE

Trebusz, czyli machina miotająca, pod zamkiem Sümeg. Załadowana głazem i gotowa do ataku.



Andrzej Hildebrandt

Tłumacz, lingwista, podróżnik i enofil. Autor książki „Węgry. Przewodnik historyczny”, zajmuje się historią wojskowości, winem i elfami. Przez 10 lat wykładał na Uniwersytecie Warszawskim. Jedną z jego pasji jest historia fortyfikacji, drugą Węgry – efektem połączenia obu jest niniejszy artykuł.


Dzieci cieszą się każdą okazją do zabawy. Czasami któreś z nich postanowi złapać przechodzącego kurczaka. Czy trzeba czegoś więcej ponad taki fantastyczny wyścig?

PIĘKNO W PROSTOCIE

Paweł Zgrzebnicki

Madagaskar to jedno z najbiedniejszych państw na świecie. W ciągu ostatnich dwóch dekad poziom ubóstwa znacznie się zwiększył i obecnie aż 75 procent populacji żyje w skrajnie niekorzystnych warunkach. Jednak w porównaniu do bogatych krajów Zachodu, gdzie odchodzi się od tradycyjnych modeli rodzinnych i bliskich relacji sąsiedzkich, Malgasze wciąż żyją razem. Może wzajemna bliskość kompensuje niedostatki?



A young girl with her hair in intricate braids, adorned with colorful beads, sits on a white-painted concrete pillar. She is wearing a light-colored dress with a blue and green floral pattern. The background shows a weathered wall with peeling white paint and a wooden door frame. The ground is a mix of dirt and sparse grass.

Tam, gdzie żyje więcej ludzi, w dużych miejscowościach i nielicznych miastach, dzieci nie mają już tak wielu okazji do zabawy jak w dzikim buszu. Mniej tu jest sposobności do radosnego hasania, a życie ulicy zaczyna izolować od siebie ludzi.

Oto komfortowa podróż przez busz w powozie wyściełanym trawą. Można się położyć lub rozsiąść wygodnie. Młoda dama nie potrzebuje krępującego fotelika dla dzieci. Jest miło, cicho i spokojnie. No i nigdzie nie trzeba się spieszyć!





Kiedy rodzice zajęci są ciężką pracą w polu, dzieci pilnują się wzajemnie. Starsi opiekują się młodszymi, ucząc się dorosłości i odpowiedzialności za innych.

Spora część dróg Madagaskaru to szlaki, które prowadzą przez rozległe obszary porośnięte trawą, krzewami i pięknymi baobabami.

Pesze pokonywanie grząskich traktów wymaga nie lada siły i wytrzymałości, ale kobiety radzą sobie z tym bardzo dzielnie.



Południowo-zachodni region kraju pokrywa w dużej części pustynia. Wzdłuż linii brzegowej biegnie piaszczysta droga, po której jeżdżą autobusy podobne do ciężarówek. Dzięki nim ludzie mogą przewozić rzeczy na duże odległości. W pięknym upale trwa załadunek towaru, a za parę godzin autobus ruszy w ciężką, wielodniową trasę.



W odległych rejonach trudno o zaopatrzenie. Nie ma wielu dróg, a te, które istnieją, są często nieprzejezdne. Gdy towar dotrze do większej osady, ludzie schodzą się z całej okolicy, aby kupić to, czego potrzebują. Ci dwaj dżentelmeni zdobyli upragnioną skrzynkę piwa i maszerowali z nią wesoło, choć czekała ich jeszcze wielogodzinna wędrówka do wsi.



Przez większą część kraju można przejechać tylko porządnym samochodem terenowym. Ruch nie jest duży. Spotkanie takiego pojazdu w buszu to niezwykle przeżycie. Wzbudza on wielkie zainteresowanie wśród wszystkich, ale maluchy biegną do niego zawsze jako pierwsze.



Zdjęcia pochodzą z albumu fotograficznego „Historie”, wydanego przez Wydawnictwo Sorus.

Autorem zdjęć jest Paweł Zgrzebnicki – podróżnik, fotograf, organizator wypraw. Odwiedził ponad 60 krajów, publikował relacje, fotografie, przygotowywał wystawy i prezentacje. Od wielu lat prowadzi serwis internetowy „Dzienniki Wypraw”.

www.zgrzebnicki.com

Jedzenie to nieodzowna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróży. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu, po-

dobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowitsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!

To danie popularne w Indonezji, Malezji, Arabii Saudyjskiej, Jemenie, Indiach i Singapurze. W zależności od regionu stosuje się różne farsze, również ze słodkimi składnikami. Nazwa *murtabak* oznacza w języku arabskim „składany, złożony”.



🕒 45 MINUT 🍴 4 OSOBY

MURTABAK

przepis nadesłała:
*Pani Halina
z Nowej Soli*

🍳 CIASTO:

250 g mąki pszennej
łyżeczka soli
pół kostki roztopionego masła
1 jajko
¼ szklanki mleka
¼ szklanki wody

🍳 FARSZ:

½ kg mielonego mięsa
jedna papryka
trzy wyciśnięte ząbki czosnku
po łyżeczce: curry, kurkumy,
kolendry, ostrej papryki,
słodkiej papryki, garam masali
i soli.

🍳 Wszystkie składniki wymieszać, wyrobić ciasto i odstawić na kilka godzin do lodówki. Mięso wymieszać z przyprawami, dodać pokrojoną w kosteczkę paprykę i podsmażyć. Z ciasta formować kulki i rozciągać je na cienkie naleśniki. Kłaść placki na rozgrzanej patelni, dodać mięso, roztrzepane jajko i szczypiorek, a następnie składać na cztery razy, jak krokiet. Podsmażyć z obu stron.



ŹRÓDŁO: WIKIPEDIA

Pierwszym polskim wędrowcem po świecie, który opisał swoje spotkania z szarańczą, był Jan Potocki, autor „Podróży do Cesarstwa Marokańskiego”. Było to dokładnie 24 lipca 1791 r., gdy znalazł owady w namiocie postawionym dla niego w ogrodzie szwedzkiego ambasadora, z którym miał się udać z Tangeru w głąb Maroka.

Jedna z pierwszych notatek w prowadzonym przez niego pamiętniku brzmiała: „Siatka mojej moskitiery przedstawia istny atlas entomologiczny, palące się bowiem wewnątrz światło przyciąga całe roje różnorodnych owadów”. Ponieważ był z zamiłowania przyrodnikiem, wyszczególnił ich rodzaje: „Najróżniejsze gatunki ciem, skrzydlate mrówki, nie mówiąc już o stonogach, które łążą po kobiercach, i o szarańczy miotającej się z jednego końca namiotu w drugi”. To, co w normalnym Europejczyku mogło wzbudzić odragę, jego zachwyliło. Do spotkań z owadami marokańskimi powracał kilka razy.

27 lipca, po pokonaniu górzystej krainy zamieszanej przez Berberów żyjących w kamiennych chatkach pokrytych trzciną, szwedzki orszak rozbił obóz w pobliżu miejscowości, która w starożytności nosiła nazwę Ellerais i była kojarzona z rajsłkimi ogrodami Hesperyd. W drodze do niej Potocki musiał przebyć rozległą równinę, pokrytą z rzadka zeschłą trawą i badylami włoskiego kopru, na której ko-

pyta jego konia wzbijały setkami owady podobne do pasikoników, ale wielokrotnie większe. „Siedząc na ziemi, przypominały szarańczę, ale unosząc się w górę, rozpościerały piękne skrzydła motyle, przy pomocy których utrzymywały się w powietrzu po odbiciu od ziemi dzięki sprężystem ścięgnom nówek. Siadały na łodygach kopru rosnących na siedem do ośmiu stóp jedna od drugiej. Miały długość ponad trzech cali. Poza nimi występowała tutaj nieskończona ilość innych owadów. Miałem okazję poznać niemal wszystkie ich rodzaje, ponieważ lekarz ambasadora co chwila chwycił je przy pomocy szczypec zakończonych siatką, przekłuwał szpilką i przypinał do kapelusza. Pewnego dnia stanął się ozdobą kolekcji Uppsali czy Trondheimu”.

Przyrodnicza biblia Linneusza

Szwedzki przyrodnik amator zbierał marokańskie owady dla Karola Linneusza, (1707–1778), najślynniejszego w tamtych czasach naturalisty, twórcy systematyki i nazewnictwa roślin oraz zwierząt, profesora Uniwersytetu w Uppsali. W dziele swego życia zatytułowanym „Systema naturae” to on wędrującemu na dalekie odległości skrzydlatemu owadowi nadał nazwę *Locusta migratoria*. Przed podróżą do Maroka Potocki musiał zapoznać się z liczącym 600 stron ostatnim wydaniem tej monumentalnej pracy, które ukazało się w 1770 roku. Stanowiło rodzaj przyrodniczej biblii.

Prawdziwa Biblia odnotowała szarańczę około 4 000 lat wcześniej. Naj-

dawniejsze wzmianki o niej można znaleźć w prorocत्वach zapowiadających nadejście Mesjasza. Księga Joela wspomina o zamierzonym przez Stwórcę wynagrodzeniu ludu Izraela za szkody wszystkich lat, w których jego plony pożerał ten owad. Księga Wyjścia opisuje straty, jakie ponieśli mieszkańcy ziem nad Nilem około 1300 r. p.n.e., kiedy „szarańcza opuściła się na cały kraj egipski tak licznie, jak nie było dotąd ani nie będzie nigdy”. Tak pokarał Stwórca faraona, który nie chciał pozwolić Żydom na opuszczenie Egiptu pod wodzą Mojżesza. Była to ósma z dziesięciu plag, które Bóg na niego zesłał.

Skąd nadlatywała szarańcza

Naturalnym środowiskiem tych żarłocznych owadów była od zarania dziejów północna i subsaharyjska Afryka oraz Bliski i Środkowy Wschód. Tam rozpościerały się rozległe pólupustynie i stepy, sprzyjające ich masowemu wyrojeniu. Po zjedzeniu całej zielonej roślinności szarańcza łączyła się w stada liczące miliony sztuk, po czym pokonując 100 km dziennie, wyruszała na poszukiwania nowych żerowisk w zasięgu do 5 000 km. Szybko opanowała basen Morza Śródziemnego. Z Maroka docierała do Włoch, Szwajcarii i Niemiec. Z Anatolii bez trudu osiągała Cypr. Z Egiptu, Syrii i Półwyspu Arabskiego dolatywała do węgierskiej puszczy. Co jakiś czas gromadziła się w ogromnych ilościach także na stepach Kazachstanu oraz na Powołżu.

Pierwsze jej naloty na Ruś i na Polskę z tego właśnie kierunku odnotowano

w XI wieku. Sprzyjał temu cieplejszy niż dzisiaj klimat panujący we wschodniej i środkowej Europie. W 1318 r. dotarła na Śląsk, co poświadcza zapis w miejskich księgach Raciborza: „Zasłoniła słońce i jak wielka chmura przykryła miasto”.

Niezwykły pomnik w Krasnobrodzie

W 1542 r. pojawiła się w okolicach ówczesnej stolicy Polski. Krakowski dziejopis poinformował potomnych, że w Małopolsce, ale także na Litwie, której sięgnął jeden z jej zagonów, „latała, a tam, gdzie spadła, żyto, jarzynę i trawę z ziemią wyjadła i wygryzła”. W 1658 r. zaatakowała powiat olkuski. W 1711 r. wpędziła w trwogę mieszkańców Krasnobrodu na Roztoczu, ale ci zdołali ją unieszkodliwić.

Dla upamiętnienia tego wydarzenia na terenie majątku Zamoyskich w miejscowości Hamernia postawiono jedyny na świecie pomnik w postaci osłoniętego czterospadowym daszkiem skalnego bloku z napisem: „Wyniszczono szarańczone żywe korców 656”. Korzec był staropolską jednostką objętości ciał sypkich. Taka ilość korców odpowiadała blisko 80 tysiącom dzisiejszych litrów. W 1902 r. pomnik ten przeniesiono do Krasnobrodu, gdzie stoi do dziś. W 1749 r. szarańcza pojawiła się w okolicach Kalisza. Schwytał ją i bardzo szczegółowo narysował przyrodnik amator Joachim Jauch, którego interesowały niezwykle dziwolągi natury.

Horyzont miasta zaćmiła

Miasto pod Wawelem przeżyło pod koniec XVIII w. dwa kolejne ataki szarańczone, tak opisane przez świadków: „6 czerwca 1787 r. po południu zaczęła lecieć szarańcza przez Kraków, leciała

ciągiem przez 5 kwadransów”. „W maju 1790 r., przeleciawszy w dzień niedzielny ze wschodu od strony ulicy Floryjańskiej przez środek miasta, horyzont zaćmiła, budząc przerażenie i postrach wielki. Lud cały do kościołów się pochował, zaczęli bić w dzwony, gnój i słomę palić do jej odstraszenia. Przelot trwał do godziny 5 wieczór”. W 1846 r. wydawana w Warszawie „Kronika Polska, Litewska, Żmudzka i całej Rusi” podała: „Szarańcza wielka w Ruskie strony nie wiedzieć skąd przyleciawszy, wszystkie zboże i owoce wyjadła, wygryzła i wyniszczyła”.

O szarańczone pisali polscy poeci. Jan Kochanowski w wierszu „Elegie” przypomniął kłeskę nieurodzaju, która nawiedziła Polskę w XVI w.: „Przyszła szarańcza, przyszedł chrząszcz wielonogi. Zboże wyjadł, które grad pominął srogi”. Chmurę szarańczone nazwał „niszczycielką kłosów”. W innym swoim utworze porównał do szarańczone Tatarów, którzy w 1549 r. spustoszyli należące wtedy do Polski ziemie ruskie.

Trafiła do „Sonetów krymskich”

Mickiewicz, zesłany w 1825 r. do Odessy, dwukrotnie zapuścił się z tego miasta na Krym, gdzie zetknął się z szarańczą w ogrodach opustoszałego pałacu tamtejszych chanów w Bachczyszeraju. W Ałuszcze, leżącej u progu rajskiej doliny słynącej ze swych sadów i winnic, obserwował, jak szarańcza zasłaniająca niebo „ciągnie swój całun skrzydlaty” i niepokoił się, „czy plon zetnie”. W „Dziadach” wrócił do wspomnień z Krymu: „Tam przekłeta chmura leci, i czy ledwie wschodzące, czy dojrzałe plony, jako szarańcza wybija”.

Dwa lata przed Mickiewiczem do Odessy został karnie skierowany przez cara Aleksander Puszkina z nakazem pracy w kancelarii generała gubernatora Nowej Rosji i Besarabii, hr. Michała Woroncowa. Rzucił się tam w wir życia towarzyskiego, wdał w różne romanse, w tym z żoną gubernatora Elżbietą Branicką oraz jego kochanką Haliną Sobańską. Aby odizolować poetę od swych kobiet, Woroncowa posłał go na kilka tygodni nad Dniestr jako członka komisji, która miała oszacować straty wyrządzone przez szarańczone. Miał o tym sporządzić

szczegółowy raport. Poeta zamiast biurokratycznego sprawozdania przesłał mu króciutki wierszyk. Przytaczam go w dosłownym tłumaczeniu Juliana Tuwima: „Leciała szarańcza, leciała i siadła. Wszystko zjadła i dalej poleciała”.

Nie tylko w poezji, ale i w prozie dotyczącej ziem polskich i ruskich można znaleźć odniesienia do szarańczone. Powieść Henryka Sienkiewicza „Ogniem i mieczem” zaczyna się słowami: „Rok 1647 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i na ziemi zwiastowały jakoweś kłeski i nadzwyczajne wydarzenia. Współcześni kronikarze wspominają, iż w wiosny szarańcza wyroiła się z Dzikich Pól i zniszczyła zasiewy i trawy”.

Niespodzianki XXI wieku

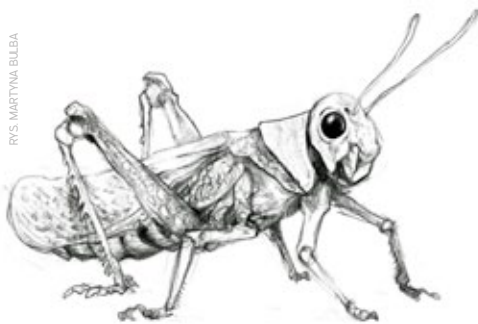
W upalnych latach po II wojnie światowej szarańcza afrykańska przypominała się Europie, dokonując nalotów nad Dunaj, Łabę i Odrę (1950 r.). Jeden z jej przeredzonych zagonów stał się sensacją w Sztokholmie. W 1967 r. pojawiła się pod Kozienicami. W 2013 r. jej atak odmiana nawiedziła południowy Ural oraz Baszkirię. W dwóch następnych latach niszcząca plaga szarańczone dotknęła Dagestan, leżący po zachodniej stronie Morza Kaspijskiego, oraz spustoszyła jeden z największych regionów zbożowych Rosji – Kraj Stawropolski, sąsiadujący z obwodem rostowskim, z którego do dawnych Dzikich Pól ręką sięgnąć. Zniszczyła zasiewy, pastwiska, ogrody i sady na obszarze miliona hektarów. Ludzie szczerze zamykali się przed nią w domach. Miejscowe władze ogłosiły stan wyjątkowy. Do walki z szarańczą rzucono straż pożarną, wojsko, lotnictwo cywilne.

Największa odnotowana dotąd chmura szarańczone zajmowała 100 km². Zaobserwowano ją w Etiopii (1958 r.). Tworzyła ją 40 mld osobników. Nie oszacowano jeszcze, ile sztuk szarańczone liczyła chmura stawropolska. Kto wie, czy nie było ich więcej niż w Księdze Wyjścia. ◉

Ryszard Badowski

Dziennikarz, podróżnik, operator filmowy, fotograf, pisarz, autor programu telewizyjnego „Klub sześciu kontynentów”. Pierwszy Polak, który dotarł na wszystkie kontynenty. Autor ponad 100 filmów i kilkuset artykułów o tematyce podróżniczej oraz 16 książek. Z miesięcznikiem *Poznaj Świat* jest związany od 59 lat.

RYŚ MARTYNA BILBA



Szarańcza wędrowna

Czas wakacji

Wielu naszych Czytelników podczas wakacji preferuje aktywny wypoczynek. Polecamy kilka ciekawych produktów, dzięki którym dni spędzone aktywnie w gronie rodziny lub przyjaciół będą przyjemne i niezapomniane.

Cena: ok. 570 zł
www.bikershop.pl



NA DESZCZ I WIATR NORTHWAVE TRAVELLER

To lekka i komfortowa włoska kurtka przeciwdeszczowa, która idealnie nadaje się na rower. Zapinana jest na całej długości zamkiem YKK z osłoną podbródka. Znamienna membrana, w którą jest wyposażony Traveller, chroni rowerzystę przed wodą i wiatrem, a jednocześnie zapewnia mu właściwą wentylację. Kurtka jest odbłaskowa, co podnosi bezpieczeństwo użytkownika. Trzy kieszenie z przodu i jedna z tyłu pozwalają na przechowywanie różnych drobiazgów. Komfort zwiększają też klejone szwy oraz rzepy na nadgarstkach.

Cena: ok. 200 zł
www.deltaoptical.pl



ODKRYCIA GWARANTOWANE DELTA OPTICAL DISCOVERY 10X50

Lekka lornetka o wytrzymałej konstrukcji. Dzięki antyodbłaskowym powłokom oraz wysokiej jakości pryzmatom BaK4 obraz jest ostry i jasny. Lornetka ma centralne ustawianie ostrości wraz z regulacją dioptryczną na prawym okularze.

PLECAK DLA FOTOGRAFA BENRO RANGER 400N



Cena: ok. 440 zł
www.benro-statywy.pl/
gdzie-kupic

Zaprojektowano go tak, aby dopasowywał się do ciała użytkownika. Zachowano przy tym dobre parametry wentylacyjne i zredukowano odczuwane obciążenie. Kieszenie otwierają się na kilka sposobów. Zewnętrzna kieszeń amortyzuje uderzenia, zapewnia termoizolację oraz zabezpiecza statyw lub inny sprzęt podczas przenoszenia. Dodatkową ochronę stanowią pokrowiec przeciwdeszczowy oraz wodoodporny materiał, z którego wykonano dno plecaka. Innowacyjny zaczep na górze Rangera 400N odciąża mięśnie karku podczas długotrwałego noszenia bagażu.

KUCHENKA NA BIOMASĘ BIOLITE



Kompletny zestaw kuchenny, który pozwala gotować wodę, grillować i jednocześnie ładować sprzęt elektroniczny. Dołączona lampka oświetli po zmroku kuchenne stanowisko. Kuchenka jest zasilana każdym rodzajem biomasy – można w niej spalać patyczki, korę, szyszki, trociny i suche szczapki. Grill stoi stabilnie na dwóch nóżkach. Czajnik osadzony na wierzchu kuchenki zagotuje litr wody w 4,5 minuty. W trakcie korzystania z kuchenki można naładować smartfon, tablet czy laptop.

Cena: ok. 1000 zł
www.sklep.paker.pl

NA KAŻDĄ PODRÓŻ CARGO HAULER DUFFELS

Te torby sprawdzą się w każdym terenie. Ultralekkie, pojemne, wytrzymałe i wygodne w transporcie. Wykonane z impregnowanego, odpornego na ścieranie materiału Bi-Tech™ Armor Lite, mają mocne, przenośne uchwyty i paski, co pozwala transportować je na różne sposoby: za uchwyt, na ramionach (jak plecak) lub na bagażniku dachowym. Spód torby zabezpieczono amortyzowanym ochroniaczem. Szeroki zakres kolorów i pojemności: 45–120 l.



Cena: ok. 400–600 zł
www.makanu.pl

ŚWIEŻOŚĆ PO WYPRANIU NIKWAX BASEFRESH®

Odświeżający płyn do płukania każdego rodzaju bielizny technicznej lub termoaktywnej. Poprawia odprowadzanie wilgoci w odzieży termoaktywnej, dzięki czemu lepiej kontroluje ona temperaturę ciała oraz pomaga zachować suchą skórę. Płyn może być stosowany wraz ze zwykłym praniem (bielizna termoaktywnej nie trzeba prać w osobnym cyklu). Skracza też czas suszenia bielizny nawet o 90%.



Cena: ok. 24 zł
www.nikwax.com



Cena: 0 zł
(bezpłatnie w App Store
i Google Play)
www.amc.krakow.pl

ZDALNE STEROWANIE CZOŁÓWKĄ MYPETZL LIGHT

Aplikacja mobilna, która steruje latarką Petzl Reactik+. Zapewnia kontrolę parametrów (stan baterii, pozostały czas świecenia) i aktualnego profilu latarki. Umożliwia wybór profilu świecenia z pięciu domyślnych (uniwersalny, bieganie, alpinizm, trekking, podróże) lub stworzenie własnego. W trybie live zarządza się jasnością i czasem świecenia na bieżąco. W sytuacji awaryjnej Petzl Reactik+ zmienia krótką wiadomość napisaną na smartfonie na alfabet Morse'a i nadaje ją sygnałem świetlnym.

NAWODNIENIE TO PODSTAWA ZEFAL TREKKING 700

Ten bidon zostanie najlepszym przyjacielem w każdy upalny dzień. Dzięki zintegrowanym uchwytom można go używać wszędzie: w pracy, w aucie i podczas jazdy na rowerze. System Travel-Cap pozwala bidon łatwo zamknąć, a ustnik jest przyjemny w dotyku. Butelka wykonana z tritanu zapewnia trwałość w każdych warunkach, bezwonność i odporność na uderzenia. Atutem jest również optymalna pojemność 700 ml.



Cena: ok. 50 zł
www.bikershop.pl

ZABIERZ W PODRÓŻ OBIEKTYWY GENESIS DAKAR L

Torba została wykonana z grubego, płóciennego materiału. Główna przegroda, przeznaczona na aparat fotograficzny i obiektywy, jest zamykana na zamek. Wewnątrz torby znajdują się dwie mniejsze kieszonki na dokumenty i przegroda na laptopa o przekątnej 12 cali, natomiast na zewnętrznych bokach umieszczono kieszenie na akcesoria fotograficzne. Dakar L, wyposażony w osłonę przeciwdeszczową, dostępny jest w różnych wersjach kolorystycznych.



Cena: ok. 140 zł
www.genesisgear.pl



KASK ANATOMICZNY TSG TRAILFOX

Bardzo wygodny i przewiewny kask, wyposażony w 16 aerodynamicznych otworów wentylacyjnych. Ma wysokiej jakości, wygodne wkładki wewnętrzne oraz zapinkę pod szyją i zdejmowany daszek. System Tri-Fit z tyłu kasku pomaga optymalnie dopasować kask do rozmiaru głowy. Ma atest bezpieczeństwa. Waga 280 g.

Cena: ok. 380 zł
hsecompany.pl

BEZLUSTERKOWIEC Z GÓRNEJ PÓLKI SONY α6000

W przeciwieństwie do wielu konkurencyjnych aparatów α6000 jest wyposażony w system Fast Hybrid AF, pozwalający ustawić ostrość zdjęcia aż w 179 punktach kadru. Pasuje to aparat w ścisłej czołówce sprzętu tej klasy. W rezultacie dokładne śledzenie ostrości obiektów jest możliwe zarówno podczas nagrywania, jak i fotografowania z imponującą szybkością 11 klatek na sekundę.



Cena: ok. 2 500 zł
www.sony.pl

NAMIOT, KTÓRY PRAWIE NIC NIE WAŻY MSR HUBBA HUBBA NX

Najpopularniejszy dwuosobowy namiot, wciąż ulepszany już od 15 lat! Laureat wielu prestiżowych nagród. Przestronny, funkcjonalny i bardzo lekki. Można go rozstawić na cztery sposoby. Po pierwsze – klasycznie, czyli sypialnia nakryta tropikiem. Po drugie – sama sypialnia, o ile noce są gorące i suche. Po trzecie – tropik z podkładem (dostępnym osobno). Po czwarte – sam tropik, jeśli zależy nam na jak najlżejszym bagażu. W wersji z podkładem namiot waży jedynie 1,19 kg, a tropik rozstawiony tylko na stelażu – niecały kilogram! Dwa wejścia ułatwiają użytkowanie namiotu dwóm osobom, a przestronne przedsionki zapewniają wiele miejsca na bagaż. Waga po spakowaniu: 1,72 kg.



Cena: ok. 2 000 zł
www.sklep.paker.pl

ROWEROWE DARE 2B

Sezon rowerowy w pełni, a w moje ręce wpadły kolejne produkty dla fanów dwóch kółek: spodnie Modify 2in1 i kurtka Caliber Jacket, czyli odzież marki Dare 2b.

Obie propozycje są kierowane zarówno do amatorów, jak i zawodowców. Testowałem je na bieszczadzskich szlakach: podczas upalnego dnia i przy padającym deszczu.

Szorty Modify 2in1 są sprzedawane w komplecie razem z wewnętrznymi spodniami z elastycznej siateczki wyposażonymi we wkładkę 2D Acitivity Pad, zwiększającą komfort jazdy (potocznie zwane „pampersem”). Jeśli ktoś planuje kilkugodzinne przejażdżki, koniecznie musi mieć takie spodnie z wkładką. Te w zestawie z szortami Modify sprawdziły się

doskonale – są dobrze dopasowane, wyprofilowane, wykończone żelową taśmą zapobiegającą podwijaniu się. Spodnie mają regulowany, elastyczny pas (na rzep)

oraz szlufki. Są wyposażone w dwie zapinane na zamek kieszenie, dwie kieszenie tylne i dwie boczne na udach. Spodnie zostały porządnie obszyte, zamki działają bez zarzutu, a ich ułożenie nie krępuje ruchów podczas jazdy. Mimo przetarcia o drzewo i solidnego ubrudzenia błotem wciąż wyglądają jak nowe. Krojem i wygodą nie ustępują czołowym markom specjalizującym się w odzieży kolarskiej.

Jedynie warto popracować nad ich designem, zwłaszcza że obecnie modne są wszelkiego rodzaju jaskrawe wstawki.

Pancerna i jednocześnie lekka (340 g, rozmiar M) męska kurtka Caliber Jacket przeżyła prawdziwy chrzest bojowy podczas kilku godzin jazdy w deszczu i chlapiącym błocie. Wykonana z oddychającego, odpornego na rozdarcia i jednocześnie w pełni wodoodpornego materiału Ared 5000, ma podklejone szwy i wodoszczelne zamki. Kurtka ma ergonomiczny krój, przegubową konstrukcję rękawów i ciekawy system regulacji (kołnierza oraz dołu). Nie krępuje ruchów – pozwala na kontrolę roweru i czerpanie pełnej radości z jazdy. Warto wspomnieć, że zmieści rękę wraz z ochraniaczami na



FOT. LUKASZ PUTZ



Cena: ok. 300 zł
(przecena 105 zł)
www.sklep-dare2b.pl

łokcie (jeśli ktoś używa), co nie jest takie oczywiste w innych modelach.

Dzięki tej kurtce prawie nie odczuwałem nieprzyjających warunków atmosferycznych. Przyjemne w dotyku obszyte wokół szyi i panele wentylacyjne z siateczki na plecach dodatkowo podnoszą komfort użytkowania, a odblaskowe elementy zwiększają bezpieczeństwo podczas wieczornych i nocnych wycieczek.

Oba produkty mają świetny stosunek jakości do ceny – szczególnie teraz, przy trwającej promocji. Jeśli szukasz odzieży rowerowej na krótką wycieczkę lub na długą eksplorację górskich szlaków, warto zapoznać się z ofertą marki Dare 2b.

Test: Grzegorz Miedziński



Cena: ok. 400 zł
(przecena 160 zł)
www.sklep-dare2b.pl



FOT. LUKASZ PUTZ

wprost

BIEŻĄCE INFORMACJE
GORĄCE KOMENTARZE
OPINIE WAŻNE DLA POLSKI



Czytaj na **wprost.pl!**

Na kawony do Zaleszczyk

Uzdrowisko w Zaleszczykach przez lata przyciągało klimatem rzesze kuracjuszy. Popularnością cieszyło się wśród rodzin z dziećmi, ponieważ leczono tam przede wszystkim choroby dziecięce. W miejscowości nad Dniestrem działały dwie plaże: Słoneczna i Cienista. Kurort był nazywany przedwojennym polskim biegunem ciepła ze względu na wysokie temperatury w okresie wakacyjnym. W latach 20. termometr na plaży Cienistej pokazywał 55 stopni, co zostało uwiecznione na zdjęciu.

Dzięki sprzyjającym warunkom klimatycznym w Zaleszczykach uprawiano owoce egzotyczne: arbuzy nazywane kawonami, brzoskwinie i melony. Pobyt umilały kuracjuszom występy orkiestry, pokazy kina letniego czy mecze piłki plażowej. Wśród licznych imprez organizowanych w Zaleszczykach najpopularniejszą było wrześnie winobranie.





FOT. NARODOWE ARCHIWUM SYMBIOTY

W najbliższych numerach...



JAPONCZYCY PO GODZINACH



INNSBRUCK – W SERCU ALP



SŁODKO-SŁONA PORTUGALIA

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Zastępca redaktor naczelnej
Dariusz Małkowski
dariusz.malkowski@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 980

Sekretarz redakcji
Julia Michalczyńska
redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Ryszard Badowski, Anita Demianowicz, Marcin Dobas,
Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski,
Marcin Kołpanowicz, Sławomir Kozdraś, Marta Legiec,
Magdalena Żelazowska

Grafika & DTP & Prepress
Maciej Jurkowski, Julia Michalczyńska

Korekta
Joanna Lewandowska

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
PROBIER sp. z o.o.
80-180 Gdańsk, Kowale ul. Glazurowa 7

Koordinator do spraw wydawniczych
Beata Pernak
prenumerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
mBank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Reklama outdooru
Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Reklama świata
Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.

HOYA FILTERS

Filtry neutralne Hoya ProND

Ekspozycja pod kontrolą, bez wpływu na barwę.



phot. Marek Waśkiel / waskiel.pl

www.hoyafilter.pl

Wyłączny dystrybutor w Polsce 



REAKTIK +

Plan treningowy Bluetooth®:
monitoruj, personalizuj, działaj!

Pierwsza bezprzewodowa latarka czołowa Petzl.

Dzięki aplikacji MyPetzl Light* monitoruj stan baterii w czasie rzeczywistym, wybieraj profile oświetlenia odpowiednie do swojej aktywności i kontroluj jasność REAKTIK + na bieżąco. Korzystaj z technologii REACTIVE LIGHTING i Bluetooth Smart, by zoptymalizować czas świecenia. 300 lumenów. www.petzl.com



Access
the
inaccessible®